Nr. 24. Poznań, Niedziela 10-go Czerwca 1900 r. Rok IV.

PRACA

Tygodnik illustrowany

*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę**; na poczcie w Austro-Węgrzech **72 centy**.*
***Pod opaską:** w Niemczech **1,65 mr.**, w Austro-Węgrzech **1 złr.**, za Oceanem **1 dolar**.*

Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

500 letni jubileusz
Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Uroczystość jubileuszu Uniwerstytetu krakowskiego, jak to donosiliśmy, obchodzoną była dnia 6 i 7 czerwca w Krakowie. Byli na niej obecni przedstawiciele niemal wszystkich wyższych zakładów naukowych w świecie całym.

Pięćset lat mija właśnie od chwili, kiedy król Władysław Jagiełło wznowił w Krakowie Wszechnicę, czyli uniwersytet. Od tej pory istniała ta Wszechnica bez przerwy przez pięć wieków aż do czasów dzisiejszych, a w roku obecnym święci pięćsetną rocznicę powstania tego zakładu naukowego, który przez tak długie lata dawał mu wielu uczonych.

Wszechnicę tę nazwano po łacinie *Alma Mater*, co znaczy „matka karmicielka, żywicielka“, bo, jak matka karmi mlekiem swe niemowlę, tak ona karmi wiedzą i zaspakaja głód umysłów. *K.*

By szanownym Czytelnikom „Pracy“ dać jak najwierniejszy obraz z przebiegu uroczystości, wysłaliśmy do Krakowa jednego z członków Redakcyi naszej jako specyalnego sprawozdawcę.

Przyszły numer „Pracy“ poświęcimy niemal wyłącznie tej dla nas tak wielkiej uroczystości, a bogate illustracye urozmaicą doborową treść jubileuszowego numeru. — Przyp. Radakcyi.

Naród nie zginie!

Tak! Nie zginie naród, nie może zmarnieć naród, który ma matki dobre! — Może to Opatrzność Boża sprawia, że w chwili strasznych doświadczeń i groźnych niebezpieczeństw odnajdujemy w sercach kobiet naszych siły, mogące jedynie uzbroić potomność do walki, której nie widzimy końca. Odnajdujemy w nich wielką, szczerą miłość Ojczyzny, przywiązanie do ojczystego języka i rodzinnych obyczajów, odnajdujemy w nich poczucie świętych obowiązków i silną wolę do obronnego działania. To potężny, trwały a szlachetny oręż, z którym Polki stoją na wyłomach twierdzy narodowej, oręż wypróbowany w najcięższej niedoli, a nigdy nie zawodzący.

Wspaniały dowód rozpoznania swych powinności złożyły nasze Polki przed światem, zebrawszy się w ogromnym, bo przynajmniej 1500 głów liczącym zastępie na wiecu, zwołanym do sali ogrodowej Lamberta na dzień Wniebowstąpienia Pańskiego. Wszakże to troska o mowę ojczystą, o wiarę i narodowość powiodła te tłumy niewiast polskich na miejsce zboru, tłumy, których obszerna sala pomieścić nie mogła.

Już od wczesnego rana napływały do grodu Przemysława spore gromadki z różnych okolic Księstwa. Nietylko miejscowości tuż pod Poznaniem położone, jak Górczyn, Kotowo, Lasek, Spławie i Żabikowo mnóstwo dostarczyły uczestniczek, ale dopisały nadspodziewanie okolice dalsze, jak n. p. Kujawy i nawet brandenburskie pogranicze. Sam Chramsk pod Babimostem wysłał 20 kobiet, a nie zabrakło nawet uczestniczek z niw, należących do znanych wrogów polskiej narodowości. I tak dziesięć wieśniaczek, zapytanych, zkąd przybywają, odpowiedziały: „Jesteśmy od Tydemana z Jeziorek!“ Oto znak, że w stanie wieśniaczym nieraz więcej jest narodowego poczucia i zapału, niż u wielu z tych, którzy narodowi przyświecać powinni!

Uczestniczek zamiejscowych naliczono około 400. Po nabożeństwie w kościele farnym, podczas którego rozbrzmiewał śpiew choralny, w ostatniej chwili wprawdzie, ale mimo to dobrze przygotowany — wiecowniczki przybyłe z dalszych stron zebrały się w ogrodzie „Eldorado“, a pogwarzywszy z sobą i pokrzepiwszy się, zwiedzały pamiątki miasta, jako to tum, ratusz, muzeum Tow. Przyjaciół Nauk i inne.

Najwspanialszą chwilą dnia pamiętnego był naturalnie wiec sam, zapowiedziany na godzinę $4^{1}/_{2}$. Już krótko po godzinie 4 sala szczelnie była zapełnioną, a wszelkie drzwi i schody zalegać poczęły setki wiecowniczek, łaknących duchowego pokarmu, którego im matki i siostrzyce polskie udzielić miały. A pokarm ten był zdrowy i posilny, a wyrazy, któremi go okraszono, płynęły z serca i zdrowej myśli, a dźwięki słów, które z pewnością długo jeszcze wiernem brzmieć będą echem w duszy niewiast naszych, były harmonijne w swej prawdzie i w swem pięknie.

Rozczulającym był widok sędziwych matron, stroskanych na stare lata swoje o los dalszych pokoleń, podniosłym był widok włościanek, które pospołu z dziedziczkami i obywatelkami miejskiemi dopominały się o prawa dla swej ojczystej mowy i wiary, a zagrzewały się wzajem do szlachetnej obrony.

Zebranie odbyło się pod honorowem przewodnictwem pani Władysławowej z hr. Kwileckich Niegolewskiej, którą dzielnie zastępowała pani Kowalska z Wysoczki. W przemówieniu wstępnem zaznaczyła treściwie powody i cel zboru, a wyraziła nadzieję, że *Wielkopolanki nie zapomną, co winne sobie, rodzinie i Ojczyźnie.*

I my mamy nadzieję, i my wierzymy, iż matki i siostry wielkopolskie spełnią tak świetnie swoje posłannictwo w narodzie naszym, jak świetnie się popisały na czwartkowym wiecu. Ten duch, który je zespolił, który się udzielał każdej jednostce na wiecu przytomnej, który tchnął z każdego przemówienia, jest istotnie *duchem wiary, nadziei i miłości — a taki duch nie ginie!*

W piękną i prawie niebywałą harmonią zlewały się myśli w przemówieniach zawarte. Z jednej pobudki poczęte rozwijały się w sposób bardzo rozmaity, ażeby znów złączyć i streścić się u wspólnego celu. Szczera nuta patryotyzmu, miłości Ojczyzny, języka macierzystego i obyczajów, stanowiła kamerton przemówienia p. drowej Stasińskiej, wywołując nastrój odpowiedni wśród słuchaczek. Porówno treść jak sposób wygłoszenia mowy, sprawiał głębokie wrażenie, że do siostrzyc polskich przemawia serce niewieście, niedolą narodu rozżalone, a pełne miłości do tego, co swojskie, co nasze i pełne wiary, że „pomimo pogromu jako naród nie zginiemy!“ Bo „upaść może naród szlachetny, zginąć tylko nikczemny,“ a mówczyni, odczuwając w każdej prawdziwej Wielkopolance to samo przywiązanie i tę samą gotowość do poświęceń, co jej duszę przenika, ufa niezłomnie, że mimo błędów i ułomności, mimo upadku jednostek, mimo frymarki zaprzańców narodowej sprawy, naród nie sprzeniewierzy się obowiązkom, które dziejowem i bozkiem przeznaczeniem na nim spoczęły, że pomny wspaniałych wzorów przeszłości świętokradzką ręką nie zniszczy narodowych świętości. — Mówczyni wierzy też, że w świętem obrony dziele matki Polki spełnią to posłannictwo, które jej dziś losy zakreślają. Trudnem i mozolnem jest zadanie twoje, matko Polko — tak mówiła z zapałem p. drowa S., ale spełnisz je świetnie, gdy je ukochać potrafisz, gdy w sercu swojem uświęcisz cel, do którego dążyć się godzi:

„Trzeba mieć przed sobą wiecznie
Cel wielki, święty, ukochany,
Coby rozpraszał nam słonecznie
Żywota chmury i tumany.
Wśród życia bólów, cierniów wielu,
Gromów, co biją w pierś rozdartą,
Świadomość mieć takiego celu,
By dlań i cierpieć było warto!“

Po pani drowej Stasińskiej zabrała głos p. drowa Erzepkowa, ażeby w jasnych, logicznych i przekonywających wywodach wykazać wadliwość i szkodliwość moralną panującego dziś w szkołach systematu.

Szczególny nacisk położyła szanowna mówczyni na to, że nie polska strzecha, ale szkoła sama winna, że dziatwa nasza w niemieckim języku niedostateczne czyni postępy. Na szkole też samej ciąży odpowiedzialność, że moralność tak często dzisiaj jest spaczoną, że zepsucie obyczajów coraz bardziej się szerzy, a występki w zastraszającej mierze się mnożą. Brak prawidłowego w języku ojczystym wykładu religii — oto źródło grzechów i zboczeń szkodzących nietylko rodzinom, nietylko społeczeństwu polskiemu, lecz nawet samemu państwu.

Niepospolitą siłą argumentacyi, pomysłowością i ciętością zaznaczyło się przemówienie panny *Omańkowskiej*, która z kolei wystąpiła na estradzie dla scharakteryzowania środków i sposobów, jakiemi władze uniemożliwiają prywatną naukę języka polskiego. Znakomicie odparła dzielna ta obrończyni mowy ojczystej zarzut władz, że Polki są agitatorkami.

„Jeżeli w obecnych czasach i w obecnych stosunkach — tak brzmiał trafny argument — wytyka się nam jeszcze niekiedy „agitacyą wielkopolską“, to doznajemy rzeczywiście wrażenia, jak gdyby ktoś kogo mocno darł za uszy, a przytem wołał „nie krzycz bracie!“ A jakżeż tu nie krzyczeć, jeżeli boli? *A nas boli! bardzo nas boli* męka dzieci naszych, jeżeli w niezrozumiałym języku pobierać muszą nawet początki nauki; boli nas krzywda, jeżeli nawet religii św. uczyć się muszą w obcym, nie ojczystym języku! „*Boli nas wreszcie i pali wstyd i sromota, że język, którym mówią 3 miliony ludności, wyrzuca się jak szmatę z urzędów, ze szkół, a nawet chciałoby się go wyrzucić i z domów naszych!* Boli nas niesprawiedliwość, jeżeli o narodowości dzieci stanowią nie rodzice, tylko rektorowie, inspektorowie i inni przedstawiciele szkolnictwa.“

W dalszych swych wywodach świetnie wyłożyła p. Omańkowska zebranym, jak władze zabraniają udzielać biednym dzieciom tak potrzebnej jałmużny duchowej, jak minister na petycyą 600 matek na zeszłorocznym wiecu zebranych dał odpowiedź odmawiającą zezwolenia na prywatną naukę języka polskiego, zastawiając się tem, że nauka ta ma charakter szkół; jak to następnie władze, powołując się na p. ministra, sypały szczodrze rozporządzeniami, uniemożliwiającemi naukę prywatną ojczystej mowy, jak groziły więzieniem i rozdzielały surowe kary; jak to Polki nasze, chcąc wreszcie dojść do swoich praw, odsyłano „od Anasza do Kaifasza,“ ażeby wreszcie udarzyć ich odpowiedzią odmowną. Gdy się zważy, że ani na zażalenie ani na petycye nie ma odpowiedzi prawnie uzasadnionej, to trudno się uchronić myślom zawartym w bajce Krasickiego, którą trafnie mówczyni przytoczyła:

„Zawdy znajdzie przyczynę, kto zdobyczy pragnie —
Dwa wilki jedno w lesie nadybały jagnię.
Już je miały rozerwać; rzekło: jakiem prawem?
„Smaczneś, słabeś i w lesie“ — — zjadły je niebawem.“

Równie trafnie zbijała pani O. twierdzenie ministra oświaty, iż udzielanie *bezpłatne* nauki języka polskiego jest procederem. „Cóż to za proceder, za który się płacy nie pobiera? Pan minister sam za taki proceder z pewnościąby podziękował!“ Ale wszelkie wybiegi nie odwiodą nas od tego, ażeby u. p. ministra dopominać się o to, co nam się z Boga należy, nie przywiodą do sprzeniewierzenia się naszej sprawie, nie dokażą tego, iżby na nas, jako przeniewierców „piekło śmiechem zawrzasło,“ iżby „zgłuchnąć miało śpiewanie w kościołach naszych,“ iżby „zamilkła mowa polska pod strzechami polskiemi“. „W języku ojczystym cała przeszłość i Ojczyzna nasza się mieści,“ a pomne słów „vaterlandslose Gesellen,“ które

rzucił cesarz Wilhelm ze wzgardą na pewną część niemieckiego społeczeństwa, „Polki na takie miano wzgardliwe sobie nie zasłużą nigdy!“

Równym zapałem patryotycznym tchnęły przemówienia pani *Dzieciuchowiczowej* i panny *Łuczakówne*j. Pierwsza napominała matki, ażeby z pomocą tak tanich dzisiaj książeczek historyi polskiej, zapoznawały dzieci z przeszłością naszą, wpajały i pogłębiały miłość Ojczyzny, ażeby działały za wzorem wielkich kobiet i bohaterek narodu polskiego, druga zaś, w zastępstwie matki swej, wystąpiła w obronie religii w ojczystym języku i wzywała obecne matki do przysięgi, że „póki życia im starczy wiernie bronić będą porówno wiary jak narodowości.“

Nakoniec do głębi poruszył obecnych występ włościanki w sielskim stroju, p. *Magierowej* z Lasku, jako przedstawicielki rozbudzonej w stanie kmiecym samowiedzy narodowej i poczucia do wspólnego działania. Dzielnie wyglądała ta niewiasta przemawiająca z głowy w słowach nie wyszukanych, ale tryskających zdrowiem zasad, prawdą przekonań i silną wolą samoobrony. Jej przemówienie stanowiło jedną z najpodnioślejszych i najpamiętniejszych chwil czwartkowego wieca, bo w niem odsłoniła się dusza włościanki polskiej z tem samem zrozumieniem i z temi samemi uczuciami, które przenikają całe nasze społeczeństwo. Przewrotność środków szkoły dzisiejszej, wadliwość wychowania naszej dziatwy przy dzisiejszym systemie, znalazły w słowach dzielnej niewiasty prostą a trafną krytykę; wyrazy zaś, któremi napominała matki do obrony, wnikły głęboko w serca słuchaczek.

Petycya do sejmu pruskiego, powzięta na wiecu, a uzasadniona upośledzeniem i krzywdami, dziejącemi się językowi polskiemu i wychowaniu religijnemu dzieci polskich, ma w głównym swym ustępie, następujące brzmienie:

„My niżej podpisane Matki W. Ks. Poznańskiego udajemy się do Wysokiego Sejmu pruskiego z gorącą prośbą i rozpaczliwem wołaniem, ażeby Wysoki Sejm raczył wyjednać u p. ministra oświecenia:

1) ażeby we wszystkich klasach wszystkich szkół ludowych religia św. udzielaną była w języku ojczystym dzieci;

2) ażeby o tem, jaki język uważać należy za język ojczysty dzieci, decydowali jedynie rodzice, ponieważ jest to ich prawem przyrodzonem:

3) ażeby dzieci polskiej narodowości we wszystkich szkołach ludowych uczyły się języka swego ojczystego już od najniższych oddziałów, przynajmniej przez cztery lata po dwie godziny tygodniowo, i aby ta nauka nie była tylko dowolną (fakultatywną), ale obowięzującą i przymusową;

4) ażeby w prywatnych szkołach, przez rodziców wyłącznie opłacanych, przywrócono naukę języka polskiego we wszystkich klasach bez wyjątku;

5) ażeby królewskie rejencye nie zakazywały za pomocą policyi poszczególnym osobom udzielania prywatnej i bezpłatnej nauki języka polskiego.“

Nadto powzięły kobiety na wiecu zebrane rezolucyą, obowięzują matki polskie 1) do obrony dzieci swych na mocy prawa przyrodzonego przed grożącem zdziczeniem i 2) do krzepienia się wzajemnego w tejże obronie wszelkiemi siłami.

Cześć należy się naszym Matkom i Siostrom, które, nieustraszone klęskami i coraz groźniejszym przeciwko naszej narodowości skierowanym naporem, występują z całym zapałem i hasłem duszy na arenę, gdzie się toczy walka o najdroższe skarby nasze. Walka to bezkrwawa, ale ciężka, znojna, i bólu pełna, który ma złamać serce matki Polki — a pełna jadu, mającego zatruć serca dziatwy naszej.

Szczęść Boże tej obronie o dziejowem znaczeniu, podejmowanej przez Wielkopolanki, niechaj Bóg spełnić raczy to czyste, to święte ich pragnienie, ażeby potomność, którą na świat wydają, przenikała ta sama iskra miłości Ojczyzny i wiary, co ich serca do czynu rozpłomienia.

Polki! Nie wieńce z wawrzynów, któremi gardzicie w chwili ciężkiego doświadczenia, ale język ojczysty zachowany dzieciom naszym, ale miłość Ojczyzny w ich sercach rozbudzona, ale wiara w Boga z polskim pacierzem wpajana w Wasze pokolenia — oto chwała, duma i cześć Wasza!

-- ski.

Zbytek łaski i zaszczytu.

W całych Niemczech ogromne wrażenie zrobiła mowa, którą niedawno wygłosił bawarski następca tronu, książę Ludwik. Jest on otwartym nieprzyjacielem politycznego systemu pruskiego i pruskiej bezwzględności, co go nieraz już wprowadzało w kolizye z rządem berlińskim, tembardziej, że uważa on za swój obowiązek jako człowieka niezależnego od Prus, wypowiadać otwarcie swe zdanie zwłaszcza w kwestyi stosunku Prus do innych państw niemieckich. Znaną jest rzeczą, że Prusy dążą do zagarnięcia innych państw niemieckich pod swe wpływy i Bawarya, zarówno jak Saksonia zawsze w Prusach upatrywały wroga swej niezależności. Jednak ze względu na dobro całości całych Niemiec, któreby się rozleciały, gdyby sojusznicy za wszystko rachować się chcieli z Prusakami, Bawarya, Saksonia, Wyrtembergia i inne państwa niejedno z milczeniem znoszą. Robią więc z siebie ofiarę, tymczasem nieraz się z niemi Prusacy tak obchodzą, jakby wielką łaskę im czyniono, że im wolno do Niemiec należeć. Tego też punktu dotknął w swej mowie książę Ludwik i rzekł między innemi: *Niech nikt nie myśli, że uważamy sobie za łaskę przynależność do cesarstwa niemieckiego!* W tych zasadniczych słowach zawarł najwyborniejszą krytykę systemu pruskiego i pruskiej buty, która radaby nad wszystkimi panować i jeszcze każe być wdzięcznym za to.

Słowa księcia i my, Polacy, możemy w zupełności zastosować do rządu pruskiego. Rząd ten sądzi, iż nam wielką czyni łaskę, że nam pozwala uważać się za obywateli pruskich i należeć do cesarstwa niemieckiego. Tymczasem, mówi książę Ludwik bawarski, przynależność do cesarstwa niemieckiego ani szczęściem ani łaską nie jest. I my za ten zaszczyt pięknie dziękujemy, a jeśli panowie ministrowie pruscy, zaufani w siłę swych policyjnych środków i rozkazów, sądzą, że wpoją w nas wdzięczność i przywiązanie za to, że mówią np. „Niema narodowości polskiej“ — to dają tylko dowód swej nieznajomości istotnych stosunków i usposobienia ludności. Tak jak w Bawaryi słuszna podnosi się opozycya przeciw przewodnictwu Prus w rzeszy niemieckiej, tak i my, których los przykuł pomimo woli naszej do pruskiej taczki, mamy prawo powiedzieć, że należenie do państwa niemieckiego nie jest dla nas żadną łaską, ani zaszczytem.

Pan minister Rheinbaben, chcąc śladami swych poprzedników zbie-

rać tanie laury za antypolskie mowy, powiedział w sejmie niedawno: „Niema narodowości polskiej — jest tylko pruska!“ Ten pan minister, jak się zdaje, nie czuł wcale, jak wielce nam tem uchybił, chcąc nas gwałtem zaliczyć do wynalezionej przez siebie narodowości „pruskiej.“ Pominąwszy już bowiem to, że każdemu człowiekowi jest miło, aby szanowano w nim jego narodowość, zwrócić należy przecież uwagę na to, że jakkolwiek naród polski dziś jęczy w okowach, a Prusacy się nadymają, utuczywszy się zwycięztwami lat ostatnich, to wogóle zupełnie czemś innem w historyi byli Prusacy a czem innem Polacy. Myśmy już mieli po za sobą w historyi wieki całe kultury i zwycięzkich bojów z dziczą w obronie kresów Europy, gdy protoplasta i założyciel potęgi pruskiej kornie chylił kolana przed królem polskim jako lennik i przysięgę mu składał na rynku krakowskim. A później, gdy Polska wzrastała w siłę i potęgę li tylko dzięki wewnętrznej pracy, gdy kwitły nauki i sztuki, gdy rozwój handlu i gospodarstwa w najściślejsze nas związał stosunki z Zachodem, czemże wówczas byli Prusacy, jeśli nie zawsze tymi samymi spadkobiercami Raubritter'ów z tą jedynie różnicą, że ci rabusie-rycerze napastowali po drogach karawany kupieckie, a rabusie-Prusacy sąsiadom ziemię podstępem i siłą, gwałtem i przemocą wydzierali. Spojrzmy tylko na mapę, przedstawiającą Prusy, ów żywy symbol utworzonej na rozkaz ministeryalny „narodowości pruskiej!“ Spojrzmy — a ujrzymy same ślady grabieży: Hannower, Saskie prowincye, Poznańskie, prowincye nadreńskie — to wszystko z czegóż się wzięło?

A więc: za wiele łaski i zaszczytu, — jak mówi książę Ludwik bawarski, — i my za zaszczyt zostania Prusakami dziękujemy. *F.*

Z pamiętnych chwil.

XII.

Mierosławski czuł, że z chwilą gdy powaga Komitetu ostatecznie pogrzebaną została decyzyą złożenia broni, nie potrzeba się już liczyć z wpływami tego paraliżującego niegdyś orężną rozprawę czynnika, a z drugiej strony widział, że teraz nic już tej orężnej rozprawy nie powstrzyma. Powziął więc myśl urzeczywistnienia zamiaru, który zatracono w labiryncie pertraktacyi z rządem, Willisenem i Colombem, a który w pierwszych dniach kwietnia sam się wyłonił z sytuacyi — zamiaru wywołania powstania ludowego. Rozesłano więc kilkadziesiąt osób na prowincyę, zawiadomiono komisarzy powiatowych, dano znać do Krakowa, aby jednoczesny ruch wywołać w Galicyi, polecono obozom przygotować posiłki w okolicy — a wszystko w tym celu, aby zamiast trzech czy czterech obozów z kilku tysiącami ludzi stawić wrogowi naprzeciw nieuorganizowaną, ale tem straszniejszą, bo jak pożarem lasów ze wszystkich stron go okalającą ruchawkę. „Powstać z tyłu na napastnika na pierwszy huk dział, wymierzonych przeciw któremukolwiek z naszych obozów“ — taką była instrukcya, z którą Mierosławski rozesłał na całe Księztwo wysłańców.

Ale ani Mierosławski, wysyłając instrukcye na powiaty, ani Libelt, zachęcając „potężnemi słowy“ Komitet narodowy do rozwiązania się i zakończenia działalności wezwaniem ludu do broni, nie spostrzegli, że pierwszy entuzyazm już minął, że wskutek układów, rozpuszczania obozów i tylu tygodni zwłoki znikła ufność do przewodników i ochota do boju.

Z wielu stron nie dano żadnej odpowiedzi na wezwania, a z innych dano gorszą, niżby jej wcale nie dano. Komisarz powiatu Średzkiego np. wręcz odpisał:

„*Zawezwaniu twojemu, ażeby straże bezpieczeństwa powiatu Średzkiego zgromadziły się zbrojno i zajęły Środę, skoro nieprzyjaciel przeciwko wam z tego miasta wystąpi, nie może być zadość uczynione, bo lud stracił wszelką chęć do boju i poruszyć się nie da.*“

Z powiatów Gnieźnieńskiego, Mogilnickiego, Inowrocławskiego, Wągrowieckiego, Obornickiego takie same nadchodziły odpowiedzi.

Galicya Zachodnia zupełnie odrzuciła plan uroczyście w Poznaniu umówiony z Wysockim i Heltmanem; w Królestwie było cicho i głucho, a prócz garstki ochotników, których Mierosławski liczył na 175 oraz 1200 złp., zasiłków pieniężnych żadne inne echo nie odezwało się z za kordonu na rozpaczliwy krzyk strąconego w przepaść Księstwa.

* * *

Gdy minister zapewniał Polaków, że stan oblężenia będzie zniesiony i inne ich życzenia uwzględnione, w kancelaryi jego już musiał leżeć gotowy do podpisu rozkaz do Colomba, aby „w celu szybkiego i ostatecznego przyprowadzenia prowincyi do porządku *dobitnie* zaznaczył stanowisko rządu wobec pozostałych na kilku miejscach uzbrojonych oddziałów.“

Ma się rozumieć — pisze minister — że konwencya Jarosławiecka jest dla nas miarodajną, ale tam, gdzie zachodzi przypuszczenie, że co do liczby konwencyą przepisanej wyłamano się z pod jej warunków, lub dopuszczono się jakichkolwiek przekroczeń, należy użyć siły zbrojnej. Jakby w obawie, że pomimo najszczerszych chęci mogłoby zabraknąć sposobności „użycia siły oręża“, podaje minister Colombowi wyborny sposób wywołania zatargu. Pisze mu mianowicie: Należy sprawdzić, czy konwencya została wykonaną, względnie w których punktach ją przestąpiono. W każdym razie, choćby kadry zastosowały się ściśle do naznaczonych im miejsc na obozy i co do liczby nie przekroczyły umówionych warunków, należy pośród obozów wyłączyć obcych, którzy nie są poddanymi pruskimi, którym ma być wzbroniony pobyt w Księstwie i broń odebrana.

List ten nie pozostawiał pod względem jasności nic do życzenia. Po odebraniu go generał Colomb oznajmił naczelnemu prezesowi Beurmanowi, że zamierza niezwłocznie kazać zaatakować Książ, gdyż tam właśnie nadarzała się sposobność wyzyskania zatargów o aresztowanego żandarma w kierunku zleceń ministeryalnych.

Starowina Beurmann przeraził się, usłyszawszy o tych zamiarach i chcąc jakoś zapobiedz rozlewowi krwi prosił Colomba, aby mu dał czas wysłać przynajmniej delegata z ramienia władzy cywilnej i spróbować, czy nieporozumienia pokojową drogą usunięte być nie mogą. Colomb się zgodził. Było to 28 kwietnia wieczorem.

Tego samego dnia wysyłał z Berlina minister nowy list do Colomba, w którym pisze, że Colomb najzupełniej niezrozumiał instrukcyi, jeśli sądził się uprawnionym do tolerowania długotrwałego stanu niepewności w prowincyi, który zgubne tylko skutki wywołać może. — —

Z dotychczasowych raportów nie widzę, pisze minister — czy obozy polskie silniejsze są niż przepisuje umowa; nie widzę też, czy z użyciem jakichkolwiek gwałtów połączone było zaopatrywanie się tych obozów w żywność. Trzeba to przecież sprawdzić. Jeśli się okaże, że tak, wtedy ogłoś pan umowę za złamaną i zawezwij do złożenia broni.

Jeśli trzeba będzie użyć oręża, to należy go użyć, lecz nie bez poprzedniego ostrzeżenia...

List ten, wyprawiony z Berlina 28 kwietnia nadszedł do Poznania rano 29. Przeczytawszy go, generał komenderujący zawiadomił Beurmana, że „po namyśle, zdecydował się wydać rozkazy do ata-

ku" — a sam przyrzekłszy sobie święcie, że o powolność w wykonaniu *takich* instrukcyi posądzać go minister nie będzie miał sposobności, posłał kuryerów z rozkazem zaatakowania obozów. W parę kwadransów potem maszerowały pułki pruskie na obóz w Książu.

Opis bitwy pod Książem, w której bohaterską śmiercią poległ waleczny Floryan Dąbrowski i gdzie całe dziesiątki kosynierów polskich wolało żywcem się spalić niż wołać o pardon do Prusaków— opisaliśmy czytelnikom „Pracy" w jednym z poprzednich numerów.

Pominąwszy więc teraz bitwę pod Książem, następne artykuły poświęcimy bitwie pod Miłosławiem.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Lista imienna
oficerów wojska polskiego w powstaniu 1848 r.[1])

Sztab główny:

Naczelnik (inspektor) czterech obozów: *Ludwik Mierosławski.*
Szef sztabu: *St. Poniński.*
Inżynier sztabowy: *Szubert.*
Oficerowie: major *Czarnowski.*
kapitan *Antoni Przeniewski.*
pułkownik *L. Oborski.*
„ (adjutanci) *Aleksander Guttry.*
Bronisław Dąbrowski.
Intendent generalny: *Al. Brudzewski.*
„ *Józef Gąsiorowski.*
Pomocnik intend.: *Łuczycki.*
Kasyer generalny: *Ruszczewski.*

I. Obóz miłosławski.

Dowódzca: pułkownik *Brzeżański.*
Adjutant dowódzcy: podporucznik *Stoss.*
Komendant ułanów: *Pomorski.*
Oficerowie ułanów: *Modliński.*
Błociszewski.
Kłodowski.
J. Lipski.
Teofil Mniewski.
Komendant piechoty: *Miaskowski.*
Oficerowie piechoty: *Ludwik Sokolnicki.*
Koszutski.
Wiktor Szołdrski.
Stachecki.
Lossow.
Brownsford.
Ciszewski.
Fabiankowski.
Komendant strzelców: *J. Grabski.*
Oficerowie strzelców: kapitan *Lange.*
Niesiołowski.
Dembiński.
Snowacki.
Królikowski.
Komendant artyleryi: *St. Węclewski.*
Komendant placu: *Antoni Grabski.*

(Pułk poznańskiej piechoty liniowej):
Dowódzca: pułkownik *Jabłkowski.*
„ batalionu: major *Wroniecki.*
Oficer sztabu: major *Dobrogojski.*
Adjutant batalionu: podpor. *Sokolnicki.*
Płatnik batalionu: podporucz. *Lekszycki.*
Intendent batalionu: podporucznik *Brix.*
Dowódzca 1 komp.: kapitan *Żurkowski.*
„ 2 „ „ *Koszkowski.*
„ 3 „ „ *Kolski.*
Oficerowie: porucznik *Sawiński.*
„ *Miaskowski.*
„ *Konst. Rosé.*
„ *Koszutski.*
„ *E. Trąmbczyński.*
podporucznik *Kleparski.*
„ *Alfons Rostkowski.*
„ *Józef Kont.*
„ *Jan Tuszewski.*
„ *Lewandowski.*
„ *Stan. Rostkowski.*
„ *Przepałkowski.*
„ *A. Szyszyłowicz.*

II. Obóz Nowo-miejski.

Dowódzca: *Józef Bonaw. Garczyński.*
Szef sztabu: *Wład. Kosiński.*
Oficer sztabowy: *Berlier.*
Komendant ułanów[1]): *Adolf Malczewski.*
Oficerowie ułanów: *Apolinary Kurnatowski.*
Słomczewski.
major *Słubicki.*
Oficerowie piechoty[2]): *Hartwig.*
Krzysztofowicz.
Kwiatkowski.
Drozdowski.
Oficerowie strzelców[3]): kapit. *Wargowski.*
„ *Goślinowski.*
Karczewski.
Idzi Szuman.
Karol Brzozowski.
Domagalski.
Gabryelski.
Komendant artyleryi: *Bajerski.*

III. Obóz Książki.

Dowódzca: pułk. *Budziszewski* do 22. 4.
„ major *Floryan Dąbrowski.*
Komendant ułanów: *Leon Śmitkowski.*
Oficerowie ułanów: kap. *Leonard Różbicki.*
Józef Czapski.
Fr. Żychliński.
L. Terlecki.
Oficerowie piechoty: *Jezierski,*
Sokolnicki.
Seweryn Jakiewicz.
Wawrzyn. Łagodzki.
major *Ant. Kamiński.*
Piotr Falęcki.
Wołoszyński.
Walenty Jarociński.
Inżynier obozowy: *Hipolit Cukrowicz.*
Komendant placu: *Stan. Mycielski.*
„ „ major *Dzierżawski.*

II. Obóz Pleszewski.

Dowódzca: *Fel. Białoskórski.*
Oficer sztabu: pułkownik *Kuszel.*
Komendant ułanów: major *Kirkow.*
Oficerowie ułanów: *Wojciech Lipski.*
Piotr Zakrzewski.
S. Taczanowski.
Komendant piechoty: major *Andrzej Prądzyński.*
Oficerowie piechoty: *Andrzej Piliński.*
Winnicki.
Krzysztofor.
P. Wysoczyński.

Powyższa lista oficerów wymaga znacznych uzupełnień i poprawek, jak to uwidocznione n. p. w spisie oficerów nowomiejskiego obozu.

Pożądanem jest, aby lista ta o ile możności wiernie podawała nazwiska i jak najmniej luk wykazywała. Kto spostrzeże takie braki i będzie je mógł — jednem lub kilku — nazwiskami opuszczonemi uzupełnić, niech niezwłocznie przeszle list do *Towarzystwa Wydawniczego* we Lwowie (Pełczyńska nr. 1), aby luki takie przed wyjściem z druku „Powstania Poznańskiego w r. 1848" wypełnione być mogły.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Z TYGODNIA.

Dwa tygodnie temu rozstrzygnęły się w parlamencie niemieckim losy t. zw. *lex Heinze* t. j. prawa dającego policyi rękojmię zwiększonej kontroli nad prasą, zebraniami, obyczajnością publiczną itd.

Koło polskie parlamentu niemieckiego od samego początku, w sprawie oddania sztuki i literatury na pastwę policyi, szło — niestety — ręka w rękę ze stronnictwem centrum, a kierowało się w danym wypadku raczej względami taktycznemi, niż zasadniczemi. W ostatniej chwili jednakże Polacy stanęli chwilowo po stronie obstrukcyi i sprzeciwili się teroryzowaniu mniejszości, przez co wywarli przeważny wpływ na losy projektowanej ustawy.

Oświadczenie, jakie ks. dr. Jażdzewski złożył w parlamencie w imieniu Koła polskiego, miało brzmienie następujące: „Aby nie pozostawić żadnej wątpliwości co do tego, z jakiej przyczyny głosujemy przeciwko wnioskowi o zamknięcie dyskusyi, upoważnili mnie moi przyjaciele polityczni do złożenia deklaracyi. Dotychczas głosowaliśmy przy pojedyńczych przepisach zajmującego nas tu projektu z większością Izby, jakkol-

---

[1]) Zestawienie niekompletne, sporządzone na podstawie wszelkich publikacyi i dokumentów.

[1]) Ogółem było 18 oficerów u ułanów.
[2]) Ogółem było 13 oficerów w piechocie.
[3]) Ogółem było 18 oficerów w strzelcach.

wiek nie taimy tego, że brzmienie pojedyńczych paragrafów projektu nie zadawala nas w zupełności. Dopóki jednakże mniejszość Izby zwalcza projekt w obrębie przepisów regulaminowych, nie możemy mniejszości stawiać przeszkód w wypowiadaniu i bronieniu przeciwnego zdania. Dlatego będziemy głosowali przeciwko zamknięciu dyskusyi. Jako mniejszość Izby, musimy z obowiązku unikać nawet pozoru, jakobyśmy chcieli ograniczyć lub ścieśniać wolność słowa, któregokolwiek stronnictwa.“

Cała niezależna prasa niemiecka z wielkiem uznaniem przyjęła oświadczenie zdane imieniem Koła przez ks. dr. Jażdzewskiego, a uznanie to powinno otworzyć oczy Kołu, a prasie naszej dać asumpt do energicznego domagania się od Koła, aby w ostatecznem głosowaniu nie kierowało się taktyką, ale zasadą. Taktyka gra w parlamentarce niewątpliwie niepoślednią rolę, ale wobec zasad względy taktyki rozbić się jako o skałę powinny. Wobec owej lex Heinze, nie tylko całe Niemcy, ale cała Europa, ba, cały świat cywilizowany podzielony na dwa obozy: nie mamy powodu charakteryzować stronników tego prawa, ale wszystko, co w Europie stanowi arystokracyą ducha, skupione jest w falandze jego przeciwników. Każde imię, którem się jakikolwiek naród szczyci, wszyscy koryfeusze nauki i sztuki, wszyscy oni stanowią ów hufiec — który wyszedł walczyć przeciwko więzom ducha.

Oto jest zasada, prosta, jak wszystkie drogi nasze, czysta jak kryształ naszych dążeń, i nie ma względów taktycznych, któreby nas uprawniały do odstąpienia od niej. Ale po za zasadą, czyż Koło polskie sądzi, że ktokolwiek zrozumie głosowanie za prawem, które policyi oddaje ostatnie orzeczenie o tem, co czystem jest, a co nie? Koło polskie wszędzie i zawsze głosowało przeciwko powiększeniu kompetencyi policyi i wogóle władz wykonawczych, wiedząc z doświadczenia, jakie po za tem kryją się niebezpieczeństwa. A dziś? Miałożby bez wahania oddać na łup szykan i prześladowań całą sztukę polską, całą prasę naszą, spętać wolność słowa na zebraniach?

Ostatecznie między większością a frakcyami opozycyi stanął kompromis, na mocy którego projekt został złagodzony w ten sposób, iż „Lex Heinze“ nie będzie się stosować do sztuki i literatury. Walka obstrukcyjna stoczona została z wielką godnością. Wiadomość o kompromisie wywarła jak najlepsze wrażenie. Posiedzenie parlamentu było nader uroczyste. Po otwarciu narad prezydent Ballestrem podziękował posłom za ich pojednawczość, poczem wśród uroczystego milczenia członek centrum Spahn wniósł, aby „Lex Heinze“ usuniętą została z porządku dziennego. Wniosek ten przyjęto jednomyślnie, poczem hr. Hompesch uzasadnił własny wniosek, będący w istocie tylko zmodyfikowaną zasadniczo „Lex Heinze.“ Wszyscy przywódzcy stronnictw z wyjątkiem socyalno-demokratycznego i wolnomyślnego w krótkich słowach, jedni z zastrzeżeniem, drudzy bez zastrzeżeń, wyrazili swą zgodę, poczem niezwłocznie przyjęto wniosek Hompescha. Artykuły odnoszące się do teatru i dzieł sztuki upadły, a pozostała tylko karygodność sprzedaży nieobyczajnych pism i rycin osobom poniżej lat 16.

Jak znienawidzonem zostało we Francyi wszystko to, co się łączy z imieniem Dreyfusa, świadczy burza, która zerwała się w izbie deputowanych na wieść, że ujawnione zostały pewne konszachty, mające na celu wznowienie raz jeszcze osławionego procesu. Zamieszani w tem są jakiś szpieg, zostający na usługach rządu francuskiego oraz jeden z oficerów sztabu generalnego. Na interpelacyę jednego z deputowanych minister wojny Gallifet zapewnił, że póki on zostanie na swem stanowisku sprawa Dreyfusa nie będzie wznowioną. Waldeck-Rousseau zaś złożył od siebie wyjaśnienia, któremi rząd i armię mocno skompromitował, twierdząc, że sprawcami ostatnich karygodnych wydarzeń są oficerowie sztabu generalnego i że jeden z nich dopuścił się zdrady. Wyjaśnienia te przyjęte zostały niesłychaną wrzawą ze strony narodowców i konserwatystów i cała prawica zerwała się z gromkim protestem oburzenia. Następstwem tej burzliwej afery, w której sponiewierano zarówno rząd jak i jego ministrów, Gallifet podał się do dymisyi, pozorując swe żądanie nadszarpanem mocno zdrowiem. Dymisyę przyjęto i na jego miejsce powołano gen. Andrée.

W Transwaalu rozpoczęła się już agonia dwóch rzeczpospolitych boerskich. Dla jednej z nich Oranii, sporządzony został nawet urzędowy akt zejścia przez przyłączenie do Anglii jako „kolonii rzeki Oranje.“ Transwaal jeszcze usiłuje się bronić, lecz zdaje się, że są to ostatnie wysiłki. Roberts ze swą 200,000 armią otacza żelaznym pierścieniem garść dzielnych bojowników o niezawisłość polityczną. Ostatnie wieści, urzędownie już stwierdzone, głoszą o wzięciu Pretoryi i Johannesburga, gdzie, jak się podobno okazało, kopalnie złota zostały nietknięte. Radość stąd w całej Anglii niesłychana.

Podobno Krueger nawet stracił nadzieję w skuteczność dalszego oporu, i gdy już wszelkie złudzenia zninką, opuści ziemię, która dla niego jak i jego rodaków była drogą i ukochaną ojczyzną, o którą tyle krwi utoczono, o którą walczono z takiem bohaterstwem z przemagającym nieprzyjacielem.

Jest to jedna z tych wzruszających do głębi serca tragedyi dziejowych, po których pozostaje w umysłach niewysłowiona gorycz i zwątpienie w jakąkolwiek sprawiedliwość na świecie.

Jakże w tym wypadku sprawdził się głęboki sens moralny w bajce zawarty: „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły!“..

Z delegacyi austro-węgierskich, obradujących dalej w Peszcie, tyle tylko nowego, że opozycya czeska, przez usta posłów: Pacaka i Stransky'ego, wyraziła swe ubolewanie z powodu polityki hr. Gołuchowskiego na Bałkanach i względem Berlina. Odpierając te zarzuty, hr. Gołuchowski stanął w obronie rządu pruskiego, twierdząc, że wydalania austryackich poddanych pochodzenia słowiańskiego z Prus nie są tak bardzo częste, a w poszczególnych wypadkach interwencya jego zawsze była skuteczna. Nam się zdaje, że hr. Gołuchowski sam nie wierzy w szczerość tych słów i chyba nie ma pretensyi, aby im wierzono.

Chwilowo ominęło jeszcze Brukselę przesilenie ministeryalne. Mamy je za to w Norwegii. Znane są światu separatystyczne dążenia narodu norweskiego oddawna upominającego się o przyznanie mu odrębnej reprezentacyi dyplomatycznej. Storting uchwalił nowy podatek celem pokrycia kosztów urządzenia ciała konsularnego czysto norweskiego. Uchwała ta nie uzyskała sankcyi królewskiej (król Oskar zagranicą) i ztąd konflikt, który tym razem do poważnych mógłby doprowadzić następstw, bo cierpliwość Norwezczyków zbyt długo na ciężkie była wystawioną próby.

Sprawa marokońska w nową wstąpiła fazę. Umarł Bu Achmed, wezyr wszechpotężny, gwałtowny i chciwy „tygrys marokoński“ — a umarł w warunkach każących przypuszczać, że śmierć nastąpiła w okolicznościach nienaturalnych. Jedyny on podobno byłby znalazł dość energii, aby stawić opór Francyi, która obecnie niezawaha się zająć upragnionych Tafilet. Młody Sułtan co innego ma w głowie aniżeli troskę o byt i dobro państwa swego, bo oto pierwszym i najpilniejszym krokiem jego po śmierci wezyra było opanowanie słynnego haremu nieboszczyka. Pojawienia się nowego Abdelkadera mogą się Francuzi nie obawiać i zapewne postawią na swojem.

Groźniejszem jest położenie w Pekinie. Sekta bokserów nietylko bije wojska rządowe, ale wprost zagraża życiu i mieniu Europejczyków zamieszkałych w pobliżu niebieskiego państwa. Mo-

carstwa poczyniły już kroki celem obrony swych poddanych. Kryzys obecny zbliży niemało chwilę ostatecznego rozbioru potężnego niegdyś kraju. Czy tylko przy tej biesiadzie nie przyjdzie do poważnej kłótni?

K. O.

PRZEGLĄD PRASY.

Każde nowopowstające pismo polskie — to jeden nowy szermierz w walce o prawa narodu naszego, to jedno nowe źródło, z którego ma płynąć oświata i polityczne wykształcenie naszego społeczeństwa. Dlatego też witamy z jednaką serdecznością i popieramy wszystkie pisma, które na nowo zaciągają się do szeregów pracowników na niwie narodowej.

Dziś nam wypada powitać dwa pisma. Jedno z nich wychodzić zaczęło w Księstwie, mianowicie w Krotoszynie i nosi nazwę „*Chorągiew*“, drugie zaś zaczęło wychodzić w Galicyi (we Lwowie) jako pismo obrazkowe dla ludu polskiego. Nosi ono tytuł „*Zorza*“, a przeznaczone jest przedewszystkiem dla gospodyń wiejskich, żon i matek włościańskich, dla których ma być zarówno rozrywką po pracy, jak doradcą i przyjacielem w potrzebie.

W serdecznie napisanem słowie wstępnem tej **„Zorzy“**, czytamy trafne uwagi o roli, jaka dziś przypadła w udziale kobiecie polskiej wśród ludu:

„Gorzką jest dola ludu, wszyscy o tem wiemy. Lecz ciernie najostrzejsze tej doli ranią kobietę, najcięższe brzemiona jej barki przygniatają.

„A jednak silne ciało i mocna dusza włościanki polskiej oparły się nieprzyjaznym losom. I przysłowie, że kobieta trzyma aż trzy węgły chaty, prawdziwem jest dziś, jak było dawniej. Jako dziewczyna, jest ona pieśniarzem i wesołością wioski. Jako żona — wywiera dobry wpływ na męża, odwodzi go nieraz od złych nawyknień, pracą i oszczędnością podnosi dobrobyt rodziny, — a gdy chłop pójdzie na zarobek w dalekie kraje, rządnie gospodarując, dotrzymuje ojcowiznę dla dzieci i tem samem ratuje ziemię polską od przejścia w obce ręce. Jako matka nakoniec, kobieta wiejska składa dowody wielkiej miłości i poświęcenia. Z zapomnieniem o sobie samej troszczy się o potrzeby dziecka, stara się o naukę dla niego.

„Że tak bywa, a nie inaczej, widziałem nieraz na własne oczy, przypatrując się z bliska życiu kobiet wiejskich. To samo powiedzieli mi o nich światli przyjaciele włościanie z rozmaitych powiatów, odpowiadając na pytania, jakiemi są w ich stronach matki, żony, córki.

„Owoż to wszystko, co się z życia kobiet wiejskich widzi, co o nich się słyszy, budzi takie myśli: Mój Boże, gdyby więcej miały oświaty, więcej wiadomości, czegożby nie patrafiły zdziałać przy swej pracowitości, dobrej woli, szczerem sercu! Inaczej wyglądałyby wtedy nasze chaty.“

Zwłaszcza w społeczeństwie polskiem w pruskim żaborze kobieta Polka z ludu swą zabiegliwością, oszczędnością i przywiązaniem do gleby niezmierne przysługi społeczeństwu oddawać może. W obecnych czasach tyle tylko nadziei utrzymania ziemi ojczystej w ręku polskiem, ile jej pokładać możemy w naszym ludzie. Nasz lud prosty dziś większą i pewniejszą przedstawia gwarancyą, że wytrzyma wszelkie ataki pruskie na ziemię polską i z rąk jej nie wypuści, tak jak ją wypuszcza, niestety, wielki właściciel Polak.

Wobec ciągłych sprzedaży majątków polskich w ręce kolonizacyi zupełnie bezsilną okazała się opinia publiczna i głos powszechnego potępienia odbija się od winnych, jak pierwszy lepszy banalny frazes. Komisya kolonizacyjna pracuje już przeszło 14 lat i na jej wspomnienie podnosił się zawsze głos oburzenia. Zrobiliśmy jednak przy tem doświadczenie takie, że w pierwszej linii poszły na kolonizacyą wsi tych obywateli, których uważano za filary społeczeństwa. Przypominamy tylko Radłowo i Ryńsk, które pierwsze poszły na kolonizacyą. Doświadczenie tych 14 lat działalności komisyi poucza, że to nie wystarczy przeciw 200 milionom komisyi kolonizacyjnej wystawiać jedynie „głos oburzenia opinii publicznej“. Obrachunek polityczny — pisze **„Orędownik“** — oprzeć powinniśmy na czem innem:

„Nie będziemy obszerniej wykazywali do jakiego stopnia za echem owych „głosów oburzenia“ czołga się jako zmora rzeczywiste demoralizowanie społeczeństwa, zwrócimy tylko uwagę na to, że na tym punkcie rozchodzi się faktycznie opinia trzeźwiej i głębiej myślącego obywatelstwa z polecanym przez gazety nasze tak zwanym „głosem oburzenia“. W tych kołach rozumieją rzecz tak: że jeśli jeden obywatel sprzedaje spory szmat ziemi polskiej, tj. własność ziemską realizuje na pieniądz, to równocześnie powinien być drugi obywatel, który swój zapasowy pieniądz realizuje na własność ziemską. Takich obywateli nie mamy na każdą potrzebę ani między szlachtą, ani między zamożniejszem mieszczaństwem. Spółki i Banki parcelacyjne przychodzą nam wprawdzie w pomoc razem z Bankiem Ziemskim, ale tylko w bardzo ograniczonych rozmiarach.

„Trzeba sobie zatem w końcu powiedzieć, że wobec 200 milionów Komisyi kolonizacyjnej jesteśmy prawie bezbronni. Spojrzenie w oczy tej nagiej prawdzie — to bynajmniej nie ostatnia rozpacz. Przeciwnie, to byłoby rzeczywiście obrachunkiem politycznym, mającym niewątpliwie wartość. Wyzwoliłby on nas najprzód z stanu wiecznego durzenia się, żywienia się „muzyką frazesu“, jak nam napisano w Warszawie i we Lwowie, karmienie się sieczką „patryotycznych frazesów“, jak to bardzo trafnie zaznaczył „Lech“ gnieźnieński.

„Taki obrachunek polityczny miałby wielką wartość, bo on jedyny wbiłby nam raz w głowę to, czego w naszej głowie braknie, tj. przeświadczenie, że siła zarobkowa naszych warstw wyższych, naszej szlachty, jest za słaba, i dlatego obecne stosunki socyalne wyrzucają ją z ziemi dziedzicznej.

„Taki obrachunek polityczny miałby wielką wartość i to polityczną, boby sobie uprzytomniał społeczeństwu, że swój byt narodowy musi rozkładać w życiu publicznem na wszystkie warstwy, miawnowicie średnie i ludowe.“

O wiecu kobiet wielkopolskich pisze **„Kuryer Poznański“:**

„Nie o czcze popisy, nie o frazeologią chodziło tym paniom, ale zrozumiały one dobrze zadanie matek polskich w naszych czasach pod zaborem pruskim i umiały urządzić wiec tak, jak to odpowiadało potrzebie smutnych dni naszych w dziedzinie wychowania młodzieży. Taki wiec był p o t r z e b n y, i nie przeminie on bez skutku.

„Cześć tym przezacnym paniom! Oby żadna chłodna krytyka ich pracy, pełnej poświęcenia, nie obrzucała jakoby śliną z ust człowieka złośliwego błogich skutków wieca. Nie krytykować, lecz wspierać należy działalność tych matek wielkopolskich które się okazały niewiastami mężnemi i mądremi.“

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Z miasta.

Szanowna Redakcyo!

Z uwagą i prawdziwą korzyścią śledziłem głębokie prawdy, jakie współpracownik Waszego pisma wyłuszczał w artykułach swych p. t. „Nasz patryotyzm.“ Oby ten wysoki ideał patryotyzmu, jaki autor wymienionych artykułów nakreślił i wytknął, stał się dla nas wszystkich celem, do którego w wyrabianiu swych charakterów i w pracy społecznej dążyć będziemy, oby te treściwe uwagi, jakie zrobił czy to pod adresem naszej szlachty, czy naszych kupców i rzemieślników trafiły do ich serc i umysłów; szczególnie to, co autor napisał o egoizmie strojącym się w płaszczyk patryotyzmu, uważam za bardzo trafne, a niestety prawdziwe spostrzeżenia.

I kiedym tak pod wrażeniem tych podniosłych artykułów śledził poszczególne objawy naszego życia polskiego, zauważyłem wśród nich wiele szczegółów, które już nie tylko z tym wysokim ideałem, ale i z prostem poczuciem własnej godności narodowej pogodzić się nie dadzą, a które tem bardziej razić nas muszą, jeżeli wychodzą z łona instytucyi lub organów, które dobrym przykładem wszystkim przyświecać powinny.

Jakżeż można potem żądać od jednostek, by się nieraz wyrzekły swojego dobra materyalnego na rzecz idei narodowej, jeżeli wszyscy patrzymy na to, jak instytucya nasza publiczna, o społecznym i narodowym na wskroś charakterze wypuszcza hotel do teatru należący jakiemuś obcemu żydowi dlatego, że gotów jest dać nieco więcej dzierżawy niż swój, niż nasz rodak. Zdaje nam się, że już dosyć gorzkich narobiła doświadczeń z takimi obcymi dzierżawcami, przybyszami ze świata, a przecież znowu poszła na lep kilkuset, a choćby i tysiąca marek i pozwala obcemu gospodarzyć i szukać dorobku w gmachu, który to pono „*Naród sobie*“ postawił.

Nie wiem, czy ten sposób pomagania teatrowi nie jest geszefciarskim i czy tędy droga do istotnego poprawienia jego bytu? Czy nie lepiej było wypuścić hotel rodakowi w dzierżawę, choćby na razie z pewną stratą materyalną a dać w tem polskiem i dla każdego polskiego serca drogiem miejscu koniecznie Polakowi możność dorobku? Toż postępek ten w istocie swej nie różni się wiele od tych „geszeftów“, przy których ziemię sprzedają wrogom, dlatego, że lepiej zapłacą, z tą tylko różnicą, że tam zyskuje jednostka, tu zaś instytucya publiczna, ale tu jak tam dzieje się to kosztem honoru narodowego. Toż inne jeszcze są sposoby dania pomocy teatrowi; nie tu miejsce snuć szczegółowe plany reformy, zdaje mi się przecież, że najwłaściwszym i najlepszym sposobem byłoby nieść i rozkrzewić wśród naszych warstw mieszczańskich więcej zamiłowania do sztuki, zrozumienia dla teatru, by ten gmach sztuki narodowej nie świecił tak często pustkami, ale wrzał i kipiał życiem, a odwiedzający go goście zapełniali kasę. Tylko, że ten sposób działania nie jest tak wygodnym, a wymaga więcej sprężystości i wytrwałości i zespolenia sił na dłużej, niż jednorazowe wypuszczenie hotelu w dzierżawę!

Jakkolwiekbądź zdaje mi się, że u nas pod tem hasłem dobra materyalnego dzieją się nieraz rzeczy, które się dziać nie powinny.

I tak czyż nie mamy prawa żądać, aby kupieckie czy fabryczne firmy szukające wśród Polaków odbiorców, w pewnem polskiem piśmie doniesienia swe po polsku zredagowane umieszczały. Gdzież tutaj jest ten wymagany dla języka naszego szacunek, o który to samo pismo tak często woła? gdzież tutaj jest konsekwencya i zgoda między głoszonemi naukami a postępkami?

Przecież pismo, mające służyć sprawie społecznej i narodowej, nie jest przedsiębiorstwem kupieckiem i nie powinno materyalnych koniecznie szukać zysków i do jaknajwyższej dążyć dywidendy!

Głośny dzisiaj Duńczyk Brandes w swojej książce o Polsce jako znamienny rys naszego społeczeństwa podaje brak chęci strojenia piersi swej w ordery, bo powiada: dla Polaka żadnego nie jest to zaszczytem otrzymać order pruski czy rosyjski i pewno żaden rzetelny Polak nie będzie się o takie odznaczenie ubiegał.

Nie wynika stąd, aby ten czy ów rząd Polakowi orderu dla tej lub innej przyczyny nie udzielił, — do innych nieszczęść i te przyjemności, — ale w każdym razie dziwnie nas uderza, jeżeli nasze organa codzienne przy opisie wspaniałego pochodu pogrzebowego z naciskiem głoszą: za trumną nieboszczyka niesiono pruski order czerwonego orła III klasy. — Zacnemu temu mężowi ani czynom jego wiadomość ta, ani order po śmierci blasku już nie przysporzą, to też zdaje się mi wiadomość ta być zbyteczną.

Oto są, Szanowny Redaktorze, uwagi i spostrzeżenia, które mi się w ostatnim czasie nasunęły, pozwól, że się niemi z Tobą podzielę i przyjmij moje pozdrowienia i wyrazy szacunku. *C. B.*

Z przechadzki po Poznaniu.

W tych dniach, w ciepły słoneczny dzionek majowy wyszedłem sobie na przechadzkę za miasto i ot, jak stary filister jaki skręciłem za bramę Królewską na lewo „w planty“. Zawsze lubiłem dzieci i z przyjemnością przyglądam się zawsze tym malcom trzech-, cztero- i pięcioletnim, jak z rówieśnemi sobie dziewczynkami bawią się w konika lub w obręcze, z piasku sypią góry, wały i przekopy i przy zabawie choć nieświadomie pierwsze poczynają zaloty do płci pięknej i pierwsze u niej zyskują względy. Szczęśliwe dzieciaki! nie pamiętają nic z przeszłości, nie mają żadnych przykrych wspomnień, nie myślą o tem, co je czeka w przyszłości, jednem słowem nie czują jeszcze na barkach tego ciężaru, który się życiem nazywa i jak ten ptak na gałęzi śpiewa lub swierszcz w trawie bzyka tak i te dzieciaki cieszą się w tej chwili, bo słońce świeci, kwiaty kwitną i na świecie słoneczno, zielono, wesoło. Szczęśliwe!

To też by przyjrzyć się z bliska temu pełnemu, niezamąconemu szczęściu, usiadłem sobie na jednej z ławek i patrzałem na te twarzyczki rumiane, zdrowe, pyzate; a kiedym tak chwilę posiedział, popatrzał, posłuchał — zdumiałem: ni jeden dźwięk polski nie doszedł do ucha mojego; no myślę sobie, tu w tym ogródku widocznie same niemieckie i żydowskie latorośle wygrzewają się w słońcu i mrucząc pod nosem: „trza polskiej przyjrzyć się dziatwie“ wstałem z ławki i przeszedłem całe planty wdłuż i wszerz — i nigdzie nie znalazłem gromadki dzieci polskich. Alles deutsch! A było to w maju, w piękny ciepły dzień słoneczny, kiedy dzieciom tak dobrze być na dworze i wygrzewać się w słońcu i wspólnie pobawić się i pohasać.

I dziwny jakiś smutek owładnął moje serce; smutek już nie nad tem, że na naszej polskiej ziemi w asyście żydowskiej niemieckie panoszy się plemię i coraz bardziej się rozpościera — ten smutek już zrósł się ze mną i nie jest niczem nowem — lecz że ta nasza dziatwa taka zaniedbana i kryje się gdzieś po mieszkanich zadusznych, jak blade kwiaty cieplarniane, a ci, którym niedobrowolną dajemy u siebie gościnę wyprowadzają dzieci swe na trawę, w słońce na świeże powietrze.

Dlaczego tak się dzieje?

Pewno, że główną tego przyczyną jest lepszy stan majątkowy, w jakim się poznańscy Niemcy i żydzi w obec większości Polaków znajdują i ten to stan majątkowy pozwala im trzymać bonę, która wyprowadza poruczone pieczy swej dzieci za miasto. Z polskich domów zaś te, które trzymają bony do dzieci dałyby się pono na palcach policzyć. Może i w zamożniejszych naszych domach trzymających bony nie ma obecnie właśnie drobnych dzieci, któreby w godzinach rannych na świeże powietrze wyprowadzać można; ale przecież prócz tych jest tyle a tyle domów średnio zamożnych, których matki mogłyby same wywieść dzieci swe po za mury miasta „na trawę“, aby się z rówieśnikami swemi swobodnie zabawiły; nie czynią zaś tego z lenistwa jedynie i guzdralstwa, niepomne, że to ich niedbalstwo później na zdrowiu dzieci a więcej i na nich samych mścić się będzie.

Toż nie zadługo dziecko przesiadywać będzie godzinami w dusznej szkolnej izbie i już zgoła nie będzie miało sposobności użyć ranków wiosennych i w promieniach południowego słońca pobujać. Sądzimy więc, że wielka w tym względzie dzieje się dzieciom naszym krzywda, tem większa im łatwiej matki same mogłyby krzywdzie tej zapobiedz. I tutaj znowu przyznać trzeba z bólem, że nasi goście niemieccy dobry dają nam przykład i trzeba ich w troskliwości o dobro fizyczne swych dzieci naśladować.

Nie zapominajmy wszakże o tych wielkich masach drobnych dzieci, kryjących i chowających się po zaułkach, po mieszkaniach sklepowych, brudnych, ciemnych i wilgotnych, po izbach podwórzowych; nie zapominajmy o dziatwie naszych rzemieślników i wyrobników. Tych rodzice dzień cały zajęci pracą przy warsztacie, w fabryce i po domach obcych nie mają zgoła czasu na wyprowadzanie dzieci swych po za miasto i tak więdnie to biedactwo i blednieje wśród murów ciasnej izby.

Czyjąże troską winna być dola tych biednych ofiar i kto się winien niemi zająć, jeżeli nie nasze Panie, nasze Polki uspołecznione, garnące się teraz tak krzepko do pracy społecznej? Do Was się przeto odzywam Panie z Przytuliska, Warty, Czytelni dla Kobiet, do Was Panie, któreście wiec tak umiejętnie i wspaniale urządziły i żywy dały nim dowód, jaka siła i chęć poświęceń w Was spoczywa. Oto nowe wdzięczne i piękne pole działalności dla dobra ogółu Wam się otwiera. Pamiętajcie, że jedynie w „zdrowem ciele zdrowy duch“ i że z dziecka skarłowaciałego fizycznie naród nasz pół tylko będzie miał pociechy i korzyści.

Słyszymy, że i pod tym względem Panie nasze nie zostały zupełnie bezczynne, ale przecież to, co się dotąd dzieje w tym względzie, mała jest tylko cząstka tego, coby się dziać mogło. By tutaj dojść do istotnych a tak bardzo potrzebnych i pożądanych rezultatów, trzeba by zorganizować akcyą na szerszą skalę i regularnie mniejszemi lub większemi gromadkami wyprowadzać dzieci nasze na wspólną zabawę po za miasto: wyprowadzać stale, systematycznie szczególnie te dzieci, które nie chodzą jeszcze do szkoły. Dlaczegóż te planty i ogródki i miejsca dla zabawy dziecięcej wspólnym kosztem miasta naszego wzniesione mają tylko służyć wypierającym nas zewsząd Niemcom i żydom?

Takie to uwagi nasunęły mi się na onej przechadzce poznańskiej i dlatego rzucam tu oto tę myśl w nadziei, że osoby, które mogą ją podjąć, nie będą zwlekały z urzeczywistnieniem tyle żywotnej sprawy i jaknajprędzej myśl w czyn zamienią.

Poznańczyk.



Trapiści udający się do pracy w polu.

Dom wiecznego milczenia.

Wśród kwitnących równin departamentu Orne, owej części Normandyi, która pod względem żyzności ziemi równa się prowincyi Touraine zwanej „ogrodem Francyi", wznosi się wysoki i ponury gmach, samotny i na pozór zupełnie opuszczony. Ale przyjrzawszy mu się bliżej, widzimy, że długi ten i masywny budynek, zaopatrzony licznemi oknami, jest zamieszkałym i wygląda jak miejsce gorączkowej i nieustającej pracy o byt powszedni. Wysoka wieża kościelna królująca nad całą okolicą jest przecież znakiem, że mieszkańcy tego domu inne mają zajęcie, niż pogoń za dobrami doczesnemi. Wokoło głębokie panuje milczenie, przerywane tylko raz po raz głuchym rykiem pasącego się bydła lub uroczystym dźwiękiem dalekich dzwonów kościelnych.

Tutaj jest państwo mnichów Trapistów, a ów samotny dom ich klasztorem. Rzadko kiedy wejdzie ktoś obcy do domu wiecznego milczenia, rzadko kiedy wyjdzie stąd jaka wiadomość na wielki świat. Uprzejmości francuzkiego uczonego Duboul'a zawdzięczamy jedynie zapoznanie się z życiem i zwyczajami zakonników i dzielimy się chętnie tem z naszymi czytelnikami.

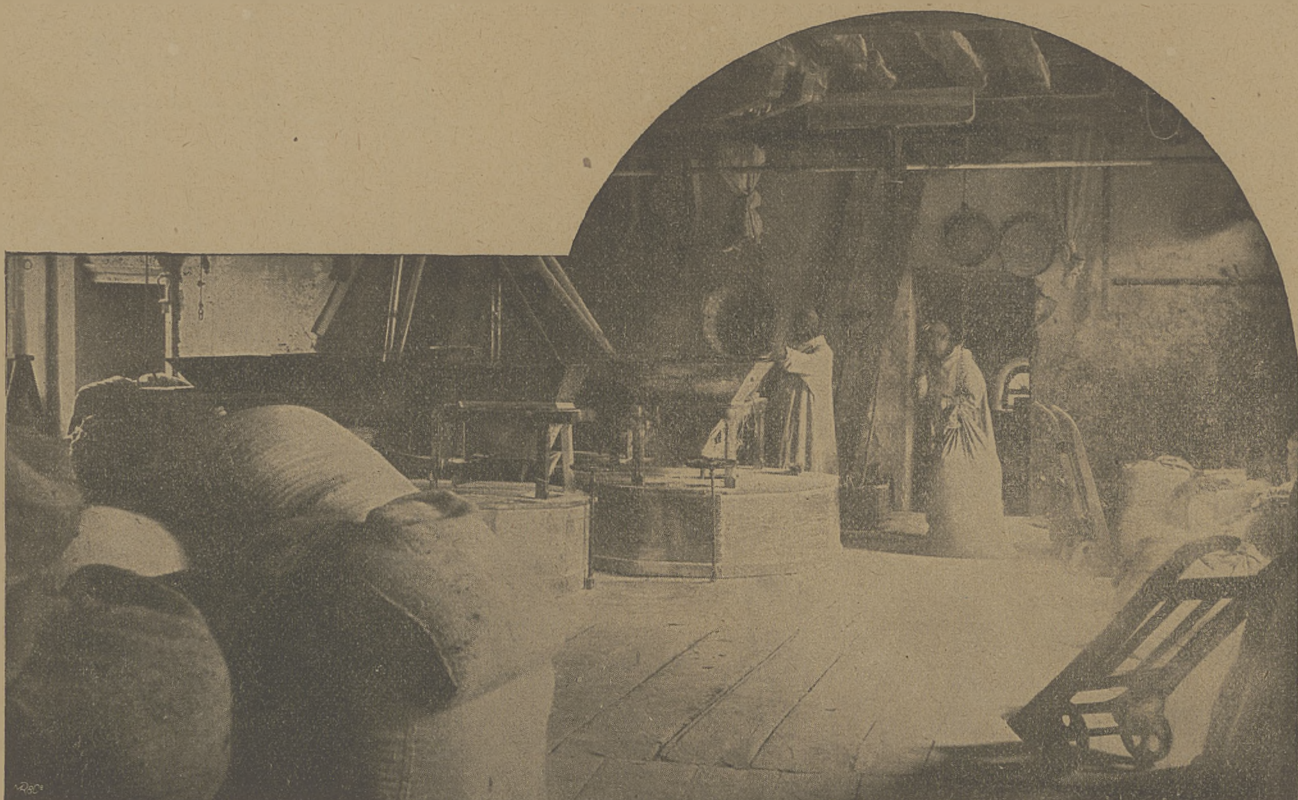
Dziwny rzeczywiście świat otwiera się tutaj naszym oczom!

Założenie zakonu Trapistów w daleką bardzo sięga przeszłość. Jedna gałęź zakonu Cystersów, mieszkająca w dwunastym wieku w opactwie La Trappe, przyjęła odmienne zupełnie przepisy i reguły, nadane im przez Armanda Jana le Bouthillier de Raucé, który przepędziwszy młode lata w największej rozpuście, zgromadził później 60 Cystersów, i zamieszkawszy z nimi w La Trappe, prowadził tam żywot na pokucie i najrozmaitszych umartwieniach ciała.

Od tego czasu rozszerzył się ów zakon po wszystkich krajach; we Francyi istnieje 20 zakonów Trapistów, w Anglii, w Austryi, we Włoszech, w Holandyi i w Niemczech razem 15 (po trzy w każdem państwie) w Hiszpanii 2, czternaście zaś znajduje się w innych krajach. Zakonników Trapistów jest obecnie 3,400, a mieszkają oni w 75 rozmaitych domach.

Na trzech żelaznych podporach spoczywa cały gmach tego najostrzejszego zakonu, są to: prawa wspólnego życia, wspólnej pracy i nieugięty nakaz wiecznego milczenia!

Ciężkiem i mozolnem jest życie Trapisty. Rano, a raczej w nocy o 2giej rozpoczyna się praca dzienna. Gdy przytłumiony ton dzwonka rozlega się w klasztorze, wstawają zakonnicy i w swych bronzowych lub białych habitach spieszą do kaplicy, po nabożeństwie zaś idzie każdy do wyznaczonej sobie pracy. Bo Trapiści nie wiodą życia bezczynnego, są to pilni pracownicy, którzy muszą natężyć wszystkich sił fizycznych.



Trapi-ci przy pracy w młynie.

Nie mając z żadnej strony pomocy, starają się sami o to, co im do skromnego ich życia jest potrzebnem. Kościół klasztorny otoczony jest w około nowemi budynkami, zaopatrzonemi we wszystkie nowoczesne sprzęty rzemieślnicze, zakonnicy mają własny młyn, drukarnią, fabrykę czekolady itp.

Ale nikt nie ma tu stałego zajęcia. Praca jest dla zakonników nietylko źródłem zarobku, ale nadto i pewnym rodzajem pokuty i wiecznem ćwiczeniem się w ciężkiej sztuce zaparcia się samego siebie.

Trapiście nie wolno wybierać pracy, musi on być każdej chwili gotowym do każdego zajęcia. Opat rozkazuje, a zakonnik milcząc, wypełnia jego rozkazy. Kto dziś przepisywał zajmującą książkę, ten musi jutro mleć zboże, kto rano spisywał kronikę, lub czytał dzieła mędrców, musi po obiedzie kopać w ogrodzie lub rąbać drzewo w lesie. Obiady, kolacye itd. jadają zakonnicy razem. Każdy z nich zasiada przy osobnym stoliku w wielkiej sali jadalnej i je kawałek chleba, zupę, trochę jarzyny, a odrobina wina z jabłek jest jedynym ich napojem. Tylko chorym wolno jeść mięso.

Wieczorem o 7ej kończy się praca.

Długiemi rzędami idą milczący zakonnicy do wspólnej sali sypialnej, ogromnej i pustej. Żadne drzwi nie zamykają pojedyńczych przedziałów zakonników, a łóżka ich są prostemi łóżkami żelaznemi, o jednej poduszce napełnionej słomą i skromnej wełnianej kołdrze. Siedem godzin snu musi im wystarczyć, habitu nie wolno im zdjąć, kładą się więc w ubraniu na twarde łóżka i w nocy, gdy dzwonek wzywa, wstawają bez szemrania i rozpoczynają na nowo ciężką, dzienną pracę.

Tak nie jest Trapista nigdy sam, a jednak jest zupełnie sam. Bo nie może do nikogo słowa przemówić, wszakże poprzysiągł wieczne, niezłomne milczenie. Jak okropnem musi być to milczenie, zakonnicy bowiem są zawsze razem w liczbie kilkunastu od rana do wieczora, przy robocie, w kościele, w warsztatach i na polu i w lesie; nigdy nie wolno się odłączać pojedyńczym. W rozmaitych grupach idą wszyscy do wyznaczonej roboty, i tak ramie przy ramieniu pracują dzień w dzień, przez całe miesiące i lata, latem i zimą, w pogodzie i deszczu, w blasku słońca i śniegu; pracują oni jak bracia nad wspólnem dziełem, ożywieni tą samą myślą! Oddychają tem samem powietrzem, mieszkają wspólnie,



Przeor w ubraniu zakonnem.

dzielą wszystko pomiędzy sobą, a żaden z nich nie zna swego towarzysza, i żaden nie wie, co innych spowodowało do zamknięcia się w tym grobie!

Przeszłość ich pozostaje wieczną tajemnicą. Kto wie co ich spowodowało do wyrzeczenia się świata i do szukania przytułku tutaj, gdzie świat rzeczywiście się kończy! Kto wie, czemu przyszli i zkąd przyszli....

Nigdy usta ich nie wymawiają słowa — nie słychać tu ani rozmowy, ani głosu ludzkiego. Gdy inni ludzie pragną się uskarzyć znajomym i ulżyć sercu — musi Trapista milczeć; gdy dusza ściska się bólem i gdy słowa żalu i goryczy cisną się do ust — musi Trapista milczeć.

Tylko wobec opata i przeora wolno mu złamać milczenie; jeżeli zaś chce przemówić do jednego z zakonników, to musi prosić o pozwolenie opata, ale pozwolenie to bywa tak rzadko udzielanem, że nikt już o nie prosić nie śmie.

I jakiem życie, taką jest śmierć. Nawet i w śmierci nie zdejmuje Trapista swego habitu. Gdy ostatnia chwila zakonnika się zbliża, sypią popiół na słomę i kładą na nią umierającego — takiem jest łoże śmiertelne Trapisty. Zakonnicy patrzą w milczeniu na śmierć — wszyscy gromadzą się wokoło konającego i modlą się — w milczeniu. A gdy już serce bić przestało, wtedy spuszczają umarłego w grób, z niezakrytą twarzą i w habicie, którego za życia nigdy nie zdejmował. Trumny nie ma nikt, i tylko mały biały krzyż wskazuje miejsce wiecznego spoczynku milczącego zakonnika.

Dla tych ludzi nie może śmierć być straszną! W chwili bowiem, w której przestąpili próg tego grobowego domu, skończyło się ich życie, i śmierć rozciągnęła już nad nimi swe czarne skrzydła. Dla świata przestali żyć, gdy wykonali przysięgę wiecznego milczenia. Jak okropnem musiało być życie tych nieszczęśliwych, jeżeli z własnej woli pogrzebali się żywcem w tym ponurym grobie milczenia!

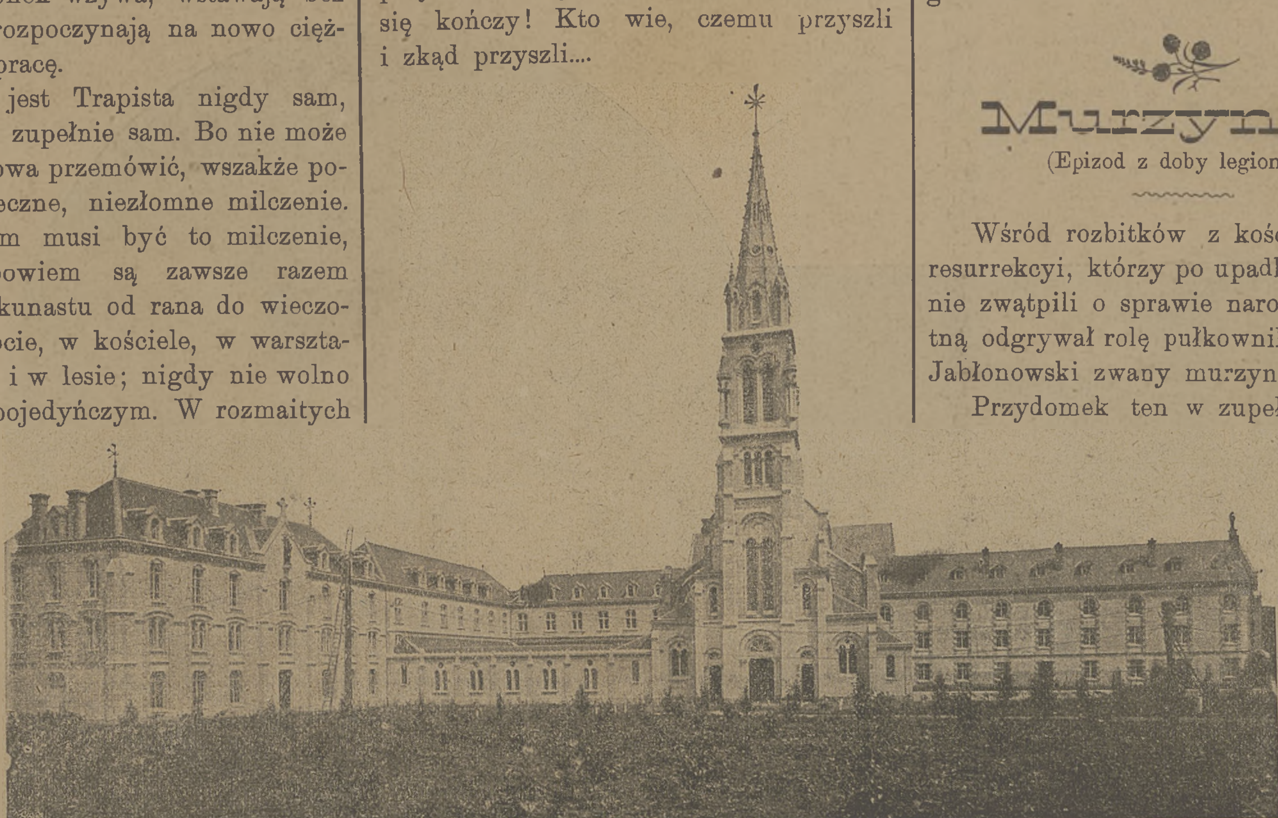
Oska.

Murzynek.

(Epizod z doby legionów).

Wśród rozbitków z kościuszkowskiej resurrekcyi, którzy po upadku powstania nie zwątpili o sprawie narodowej, wybitną odgrywał rolę pułkownik Władysław Jabłonowski zwany murzynkiem.

Przydomek ten w zupełności uzasa-



Widok wielkiego klasztoru Trapistów w Orne.

działa powierzchowność dzielnego pułkownika. Jabłonowski na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie mieszańca, conajmniej mulata. A jednak ujrzał on światło dzienne w Polsce 1768 r.

Jako matkę jego wymieniano ogólnie jedną z pań polskich, której skronie zdobiła mitra książęca. Powróciwszy po długim we Francyi pobycie, powiła księżna czarnego — jak go nazywano — potworka.

Podskarbi Gliński przytacza w swych pamiętnikach ciekawą rozmowę, jaka się toczyć miała między matką niemowlęcia a księciem, jej małżonkiem, niezbyt zbudowanym z powodu zjawienia się czarnego intruza.

— Pani, rzekł książę — skąd się ten murzynek do nas zaplątał? —

— Zapatrzyłam się — odparła księżna na woskowego murzyna, stojącego w Paryżu z fajką w ustach przed sklepem tabacznym...

— To dobrze, rzekł uprzejmy małżonek — lecz gdzież jest fajka: bo w ustach noworodka tej nie widzę. —

Księżna odesłała malca do Paryża, gdzie się wychowywał pod nazwiskiem Władysława Jabłonowskiego.

Opuściwszy szkołę wojskową w Brienne powrócił Jabłonowski do kraju, bił się pod Kościuszką.

Z wiosną 1801 powierzono mu w Medyolanie dowództwo legii naddunajskiej, złożone przez Kniaziewicza, lecz już przed ostatecznem rozwiązaniem tego oddziału Jabłonowski zamianowany generałem brygady.

Z rozkazu Bonapartego wyprawiono go na San-Domingo z poleceniem, aby obmyślił w jaki sposób walczący we Włoszech legioniści mogliby najlepiej walczyć przeciw powstańcom murzyńskim.

Nie było sądzone dzielnemu żołnierzowi, aby zobaczył raz jeszcze ziemię ojczystą. Z chwilą gdy eskadra, wioząca legię naddunajską, przybyła do Francyi, Jabłonowski już nie żył.

Wysłany z głównej kwatery na czele oddziału ścigającego bandę powstańczą, rozbił ją do szczętu, lecz zaledwie odniósł zwycięztwo, gdy uczuł objawy choroby dziesiątkującej białych w tych strefach — żółtej febry. Zabijała swe ofiary szybko, wśród straszliwych męczarni. Chorego jenerała żołnierze zanieśli do najbliższej chaty murzyńskiej, gdzie niebawem ducha wyzionął.



Grobowiec przeorów w klasztorze Trapistów.

Zwłoki murzynka spoczęły wśród czarnych, na wiejskim cmentarzu, w bezimiennej mogile, lecz nazwisko jego przeszło do potomności dzięki Mickiewiczowi, który w Panu Tadeuszu pisze:

Jak Jabłonowski zabiegł, aż kędy pieprz rośnie,
Gdzie się cukier wytapia i gdzie w wiecznej wiośnie
Pachnące kwitną lasy, z legią Dunaju,
Tam wódz murzyny gromi, a wzdycha do kraju.

St. Schnür-Pepłowski.



Przy zwłokach Trapisty.



Generał Jabłonowski.

Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Prymasi.

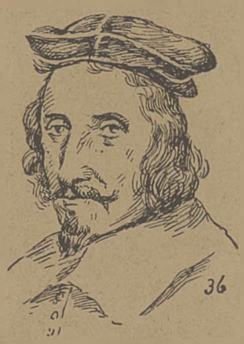
(Ciąg dalszy.)

Prymasi.



35. WOJCIECH I JASTRZĘBIEC

pierwszy Prymas Korony Polskiej i W. Księstwa Litewskiego, przeniesionym był z biskupstwa krakowskiego na arcybiskupstwo gnieźnieńskie roku 1423. Umarł w Miechowicach r. 1436. Pochowany w Gnieźnie.



36. WICENTY II KOT z Dembna,

urodzony w Dembnie pod Pyzdrami z ojca Macieja, kasztelana nakielskiego, herbu Doliwa, objął rządy archidyecezyi r. 1437. Umarł w Uniejowie r. 1448, pochowany w Gnieźnie.



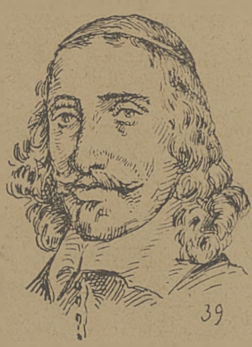
37. WŁADYSŁAW I z Oporowa,

syn Mikołaja, wojewody łęczyckiego, herbu Sulima, prekonizowany przez Papieża Mikołaja V na Arcybiskupa gnieźnieńskiego w roku 1449, umarł w Oporowie r. 1453.



38. JAN IV ODROWĄŻ SPROWSKI,

kanonik gnieźnieński, protonotaryusz apostolski i sekretarz królewski, wybrany na Arcybiskupa w r. 1453 i zatwierdzony przez Papieża Mikołaja V, objął tegoż roku rządy dyecezyi. Przez blisko 11 lat rządził dyecezyą. Umarł w r. 1464 w Uniejowie, pochowany w Gnieźnie.

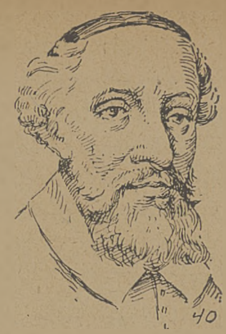


39. JAN V GRUSZCZYŃSKI,

herbu Poraj, kanonik gnieźnieński, Biskup kujawski, potem krakowski i wreszcie Arcybiskup gnieźnieński w r. 1464. Umarł nagle w Krakowie r. 1473, zkąd ciało jego przewieziono do Gniezna i tam pochowano.

40. JAKÓB III SIENIEŃSKI,

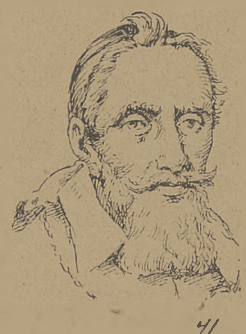
herbu Dembno, proboszcz gnieźnieński i krakowski, protonotaryusz apostolski, wybrany na Arcybiskupa gnieźnieńskiego 27 grudnia r. 1473, objął rządy dyecezyi 8 czerwca r. 1474. Umarł w Łowiczu r. 1480, pochowany w Gnieźnie.



40. Jakób III Sienieński.

41. ZBIGNIEW OLEŚNICKI,

herbu Dembno, synowiec sławnego Kardynała i Biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, został Arcybiskupem gnieźnieńskim



w r. 1481. Umarł w Łowiczu r. 1493, pochowany w Gnieźnie, gdzie ma nagrobek rzeźbiony przez Wita Stwosza.



42. FRYDERYK JAGIELLOŃCZYK,

Kardynał, szósty z rzędu syn króla Kaźmirza Jagiellończyka i Elżbiety arcyksiężniczki austryackiej, córki cesarza Albrechta. Wybrany w r. 1493 na Arcybiskupa gnieźnieńskiego, objął rządy dyecezyi w tymże roku. Umarł w Krakowie r. 1503 i tam pochowany. Kapelusz kardynalski otrzymał w r. 1495 od Papieża Aleksandra VI.



43. JĘDRZEJ I RÓŻA BORYSZEWSKI,

syn Mikołaja z Boryszewa, kasztelana zawichostskiego, herbu Róża albo Poraj, w roku 1493 Arcybisknp lwowski został w r. 1503 Arcybiskupem gnieźnieńskim. Umarł w Łowiczu r. 1510, pochowany w Gnieźnie, gdzie mu pomnik wystawił Arcybiskup Łaski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tadeusz Kościuszko.

(Ciąg dalszy.)

Takim był człowiek, takiego charakteru, umysłu i takich uzdolnień, któremu naród losy swoje powierzył. Wszystkie te rysy i znamiona odnajdujemy w całej jego działalności na widowni dziejowej i w całem jego życiu. Kościuszko jako patryota, jako wojownik, jako mąż stanu, jest zawsze jednym i tym samym człowiekiem, jest postacią z jednego odlewu. Nie jest to natura skomplikowana, przepaścista, mętna, ale postać jednolita, jak gdyby starożytna jakaś, plutarchowa. Ale zarazem był to umysł światły, a serce wielkie i głębokie. Więc obok niedoli Ojczyzny pojmował on i odczuwał całą niedolę ludzką. Uczucie narodowe, miłość Ojczyzny i niepodległości, łączą się u niego i nawzajem zasilają miłością uciśnionych, uczuciem ludzkości i sprawiedliwości.

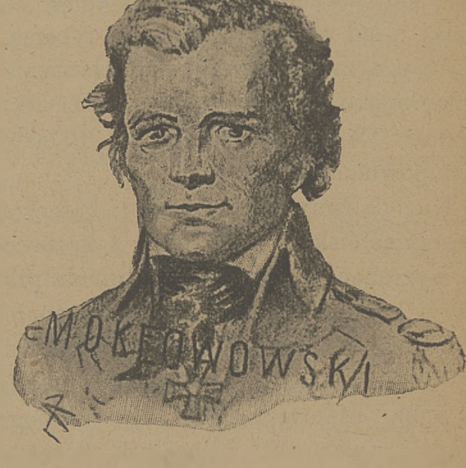
Kościuszko był pierwszym w naszych dziejach porozbiorowych, który uległ tragicznemu losowi konieczności. Losu tego po nim i wielu innych doznało w każdem naszem powstaniu. „Insurekcyą“ przygotował spisek w wojsku i w Warszawie. Wzywano Kościuszkę, ażeby stanął na czele, oznaczano termin wybuchu. On wszelako odmawiał i odradzał, żądał odroczenia. Przekładał, że lubo patryoci są wzburzeni uciskiem i hańbą po dokonanym już drugim rozbiorze kraju, lubo znaczna część szlachty ożywioną jest duchem konstytucyi 3-go maja, jednakże daleko do tego, żeby cały naród gotów był do ofiar i do walki; siły dostateczne nie są przygotowane, powstanie niepomyślne stanie się klęską, która sparaliżuje siły narodu, uczyni go bezwładnym wtedy, gdy może właśnie będzie pora do skutecznej walki. Tymczasem zadekretowany nowy cios, redukcya, a raczej zniesienie resztek wojska narodowego — cios ten srogi rozstrzygnął sprawę. Wojsko nie poddało się redukcyi, rozpoczęto walkę na swoją rękę, lubo zgodnie z poleceniami naczelników spisku. I stało się tym sposobem, co się stać musiało. Wobec rozpoczętej walki ustało wahanie. Zapobiedz nie było można, więc patryotyzm nakazywał ratować walczących, stanąć na czele, podjąć wszystko, na co tylko człowiek i talent zdobyć się może, a zresztą zdać się na Boga



Występuje więc Kościościuszko jako Naczelnik powstania i narodu, wojenny i polityczny; pierwszy i ostatni dotąd taki Naczelnik. Odpowiada on za wszystkie swoje odtąd czynności, ale nie odpowiada za ostateczny skutek. Od chwili, gdy sztandar podniósł, jest on pełen wiary, zapału i poświęcenia; usiłuje wydobyć z narodu te siły, które byłyby wystarczyły do zwycięstwa i na które naród mógł się zdobyć, gdyby już był dorósł do wysokości zadania i do wielkości duszy Naczelnika. Nie mniej jednakże sam akt powstania w Krakowie i odezwa Naczelnika przejawiają wymownie jak tragicznem było położenie. Czytamy tam, że będą użyte wszelkie „ofiary i sposoby, jakich tylko święta miłość wolności dostarczyć zdoła ludziom powstającym w rozpaczy na Jej obronę...“ „Już to jest ostatni moment, w którym rozpacz wpośród wstydu i hańby oręż nam do rąk kładzie.“ Ciężkiem zatem było to przykazanie patryotyzmu, które nakazało Kościuszce stanąć na czele powstania. Poddał się tej konieczności, oddał się cały wielkiemu zadaniu — a rozpoczął trud swój dziejowy z ufnością w moce najwyższe. Do Kapucynów poszedł, żeby mu pałasz poświęcono, a błogosławieństwo otrzymał od staruszki, przeoryszy świątobliwej klasztoru św. Jana.



Odtąd działalność jego jest wszechstronna, wojenna i polityczna, a jedna ściśle od drugiej zależy. Dla potomności ma nawet działalność jego polityczna największe znaczenie, ona to daje główne znamię symboliczne, niejako programowe dla przyszłości, temu pierwszemu powstaniu odradzającego się narodu. Kościuszko działa jako żołnierz, oraz jako wykonawca woli narodu, objawionej i złożonej w ustawie 3 maja. Od tej ustawy datuje się praca około przeobrażenia narodu, około rozszerzenia granic Ojczyzny, o miliony piersi ludzkich, piersi tych warstw ludności, które dotąd narodem nie były, a bez których uobywatelenia o przyszłości nie można było myśleć. Kościuszko działa tak, żeby ten rozpaczliwy poryw narodu był wcieleniem ideału politycznego, który opromienia nową ustawę. Więc niema już miejsca na konfederacyę szlachecką, ale zarazem nie ma miejsca na rewolucyę, na przewrot. Jak ustawa 3 maja była postępem legalnym i dobrowolnym, tak dobrowolnem ma być wcielenie ideału w tej insurekcyi. Więc też powiada zaraz sam akt powstania: „Uwolnienie Polski od obcego żołnierza, przywrócenie i zabezpieczenie całości Jej granic, wytępienie wszelkiej przemocy i uzurpacyi, tak obcej jak i domowej, (!) ugruntowanie wolności narodowej i niepodległości Rzeczypospolitej, ten jest cel święty powstania naszego...“



„...Przekonani, iż pomyślny skutek wielkiego przedsięwzięcia naszego najwięcej od najściślejszego wszystkich Nas Zjednoczenia zależy, wyrzekamy się wszelkich przesądów i opinii, które Obywatelów, Mieszkańców jednej ziemi i Synów jednej Ojczyzny dotąd dzieliły, lub dzielić mogą...“

Takie znamię, taki duch powstania wynika z ducha ustawy 3 maja. Czyni Kościuszko wszelkie rozporządzenia w tym duchu, one też nadając powstaniu jego polityczny walor, mogą zarazem jedynie zapewnić jego wojenne losy. Nie przesądza wszelako, nie aroguje się praw przyszłości, nie narzuca żadnej doktryny o ustroju narodu i państwa, nie dopuszcza żadnego gwałtu, ani przewrotu. Ustanawia porządek, administracyę na czas wojny, ale niemniej w odezwach czytamy:

„...Ostrzegamy, że żadna z tych władz doczesnych, ani oddzielnie, ani wszystkie razem wzięte, nie będą mogły uchwalać żadnych takowych aktów, któreby stanowiły Konstytucyę Narodową...“

Główne rozporządzenia natury polityczno-wojennej, które wydał były następujące:

Powołał pod broń po raz pierwszy w Polsce wszystkich mieszkańców od 18 do 28 roku życia; nakazał uzbrojenie całej ludności wiejskiej w kosy, piki, siekiery; wydał rozkaz pospolitego ruszenia ludu wiejskiego z obywatelami na czele. Zapewnił włościanom opiekę rządu, ulgę w robociznach; nakazał łagodne obchodzenie się z rodzinami żołnierzy, które na czas ich służby wojskowej od roboty są uwolnione; wszelki ucisk ludu poddał pod sądy kryminalne; ustanowił komisarzy do czuwania nad sprawiedliwością; nakazał staranie około dobytku i gospodarstwa żołnierzy, ażeby role odłogiem nie leżały...“

„Sama sprawiedliwość i dobre Obywatelstwo radzi, ażeby familia tychże włościan doznawała opieki wdzięczności, która jest każdego Obywatela zaszczytem.“

Odezwami wzywał naczelnik duchowieństwo i „Obywatelów wszystkich wyznań“ do patryotycznego współdziałania.

I miało to powstanie takie znamię, jakie mu naczelnik nadał. Skutek był wielki. Lud wiejski walczy po rycersku, rozstrzyga zwycięztwo pod Racławicami, ocala wojsko od pogromu pod Szczekocinami. Raport Naczelnika o Racławicach powiada:

Nie daliśmy więcej czasu bateryom nieprzyjacielskim tylko dwa z kartaczami wyzionąć na nas ognie, bo wraz piki, kosy i bagnety złamały piechotę, opanowały armaty i zniosły tę kolumnę, tak że w ucieczce broń i patrontasze rzucał za sobą nieprzyjaciel.“ Głowackiego, chłopa, „uplacował“ Naczelnik chorążym grenadyerów, na jego wezwanie kniaź Szujski uwolnił go od wszelkich powinności i rodzinę jego zaopatrzył, gdyż tenże Głowacki, pisze kniaź, „wskoczywszy pierwszy na bateryą, dał dowody męztwa swego“ dla miłości Ojczyzny.“ Niemniej odznaczają się mieszczanie: szewc Kiliński za zasługi wojenne zostaje mianowany pułkownikiem, a Berek Josielewicz, również pułkownik, wydaje proklamacyę do żydów, wzywając ich do obrony Ojczyzny, do ufundowania osobnego żydowskiego pułku...“ (Warszawa 1 paźdz. 1794.)

...A jednak skutek nie był powszechnym. I trudno się dziwić, że takie dobitne wcielanie ideału odrodzonej Polski znaczną część szlachty przerażało i odstręczało. Było to działanie w duchu legalnej, narodowej konstytucyi, ale i ta konstytucya nie była jeszcze weszła w krew i kości całej szlachty. Działanie takie było zatem czemś nowem, a już przez to samo podejrzanem. Nadto, po tylu doznanych klęskach umysły były strwożone, zgnębione, lękały się wszelkiej zbrojnej imprezy, a nie brakło wpływów przewrotnych, zatruwających umysły, a posługujących się także tym wstrętem i strachem, które się szerzyły pomiędzy szlachtą na skutek wiadomości o równoczesnych rewolucyjnych okropnościach we Francyi. Toż wiadomo, że manifesta zbiorowe oskarżały naród polski o ducha jakobińskiego. I trzeba sobie wyobrazić niebywałe, a niesłychanie trudne położenie Kościuszki i powstania: naród walczy, w jego imieniu urzęduje najwyższa rada narodowa; wojskiem dowodzi naczelnik; — a obok istnieje król. Zapaleńcom nasuwały się pomysły porwania lub zgładzenia króla; Kościuszko zaś i Rada narodowa strzegą majestatu i zapobiegają wszelkiej wojnie domowej. A król ów, słaby i zmiennik, posłuszne narzędzie rezydenta rosyjskiego, wystąpił z jego rozkazu nietylko z potępieniem, ale i z potwarzą powstania. W uniwersale królewskim czytamy:

„Jużeśmy was uprzedzili, że powinniście mieć się na baczności przeciw zasadom francuskim i strzedz się wszelkich stosunków z tym narodem.“

Igelstrom zaś przez swoich agentów podszczuwał lud na szlachtę, a szlachtę przeciw Kościuszce. Całą prawdę zawiera uniwersał naczelnika z obozu pod Połańcem 7 maja 1794, daje on świadectwo Kościuszce i narodowi, jest dokumentem stanowczym dla ocenienia znaczenia i przebiegu powstania, oraz samego Kościuszki. Reasumuje w nim Kościuszko wszystkie swoje rozporządzenia. Zaczyna się uniwersał od następujących prawd: „Nie byłaby się nigdy broń nieprzyjaciół stała groźną Polakom, gdyby byli między sobą zgodni, gdyby znali własną siłę, gdyby jej użyć należycie umieli. Mocarstwa sąsiednie nie byłyby w stanie pokonać nas w wojnie otwartej; lecz podstęp, przewrotność, oto broń groźna, którą nas rozdzielają i odbierają nam środki do odparcia ich napaści... Chytrość intryg, silniejsza niż broń, gubiła zawsze Polaków przez Polaków... Zbyt długo nieszczęśliwych Polaków dzieliły opinie polityczne. Różnili się w poglądach na zasady wolności i organizacyi społeczeństwa, lecz do tej różnicy, która sama przez się nie jest jeszcze zdrożną, przyłączyły się grzeszne widoki miłości własnej, interesa prywatne, upór i skłonność do wiązania się z cudzoziemcami, która musiała ostatecznie czołgać się nędznie pod ich rozkazami...“

W ten sposób mógł się odzywać do narodu tylko człowiek, który głęboko się zastanawiał nad dziejami Ojczyzny i głęboko bolał nad jej upadkiem, czerpiąc z tych dwóch źródeł poznania i uczucia, dojrzałą mądrość swoją.

Dalej mówił: ...Miara cierpień jest pełną; nadeszła chwila, w której losy Polski się roztrzygną... Porzućmy wahanie się i spory; zostawmy na boku zdrajców znanych i tych podłych, którzy są głuchymi nawet na głos konającej już Ojczyzny. Powstanie ma za cel: przywrócić Polsce wolność i niepodległość, a pozostawia woli narodu ustanowienie we właściwym czasie formy rządu... Nieprzyjaciele rozwiną przeciw nam wielką siłę wojenną, lecz nie w tem leży największe dla nas niebezpieczeństwo. Dla nas jest rzeczą najważniejszą naprzeciw hordy niewolników postawić imponującą siłę ludzi wolnych. Ale sposoby podstępne, którymi nas dotąd zwyciężano, te żmije, które nas zdradziecko kąsały, ten przewrotny machiawelizm, który nas szarpał... oto czemu trzeba koniec położyć, złamać te straszne narzędzia. Czuwajmyż bacznie, żeby wszystkich obywateli jeden duch ożywiał, żeby groźny miecz sprawiedliwości spadał wszędzie gdzie się ośmieli wychylić fałsz i zdrada. Losy Polski zależą od zniszczenia podwójnej siły przeciw nam użytej: miecza i intrygi. Oznajmiam przeto narodowi przewrotne środki, jakich używają Moskale, żeby nas zgubić. Usiłują oni podburzyć lud wiejski, szerzą przesadne opowieści o arbitralnej władzy właścicieli ziemskich, o niedoli ludu, obiecują mu poprawę losu za sprawą carowej, pchają lud, żeby razem z niemi rabował domy właścicieli. Naiwność oszukana może wpaść w takie zasadzki i wiadomo, że Moskale ubierają w swoje mundury chłopów łatwowiernych, albo zmuszonych do uległości. Wyznaję z boleścią, że obchodzenie się nieludzkie, jakiego doznaje lud wiejski w niektórych miejscowościach, nastręcza Moskalom pozór do potwarzania całego narodu. Otrzymuję często zażalenia od żołnierzy i rekrutów, że nietylko ich żony i dzieci nie doznają żadnej ulgi, lecz jak gdyby je karano za to, że ich mężowie i ojcowie służą Ojczyźnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

(Ciąg dalszy.)

Gdy Fajski skończył, żandarm wydobył z zanadrza papier i przykładając mu go do nosa, jakby go dawał do powąchania, rzekł:

— A tu jest rozkaz: aresztować człowieka, którego wskażesz i odstawić natychmiast do Kamieńca. O żadnej rewizyi nie ma nic. Co nie jest napisane, to mnie nie obowiązuje, mogłeś podać denuncyacyę szczegółową.

— Panie poruczniku, ja oszaleję!

— Możesz... każę cię oblać zimną wodą.

Rafał Fajski wrzał. Złość zaczynała brać nad nim górę.

— Panie poruczniku — rzekł słodkawo, ale głosem już trochę drżącym — gdyby tak kto inny nie ja, toby pana porucznika posądził o jakieś zakazane sympatye.

I tym lisim zarzutem jednak przeciwnika swego nie złamał.

— Możesz mnie posądzić i ty, — odpowiedział porucznik spokojnie — każę cię związać natychmiast i nie rozwiążą cię aż dowiedziesz.

— Żartowałem tylko, panie poruczniku, zażartowałem, przepraszam — rzekł z ukłonami — w każdym razie jednak jabym radził panu porucznikowi zrobić rewizyę.

— Schowaj swoje rady dla siebie.

Pomimo tej opryskliwej odpowiedzi Rafał Fajski nie ustępował.

— Jabym nawet bardzo o to prosił pana porucznika.

— Nie mięszaj się w to, co do ciebie nie należy.

Rafał Fajski wyprostował się. Twarz jego przybrała wyraz jakiejś pewności siebie, prawie dumy.

— Nie należy, nie należy — powtórzył — a jeżeli należy?

— Do ciebie należy podsłuchiwać, podglądać i donosić, a do władzy sądzić co wskutek twych doniesień przedsięwziąć.

— Pan porucznik jest w błędzie, ja mam większe prawa.

To mówiąc Fajski wyjął z zanadrza papier i podał go porucznikowi.

Był to dokument, jakiego nie miewają pospolici ajenci tajnej policyi, dokument wyjątkowy, udzielony tylko zaufańszym, jednem słowem był to rozkaz do komend i posterunków wojska i żandarmeryi, ażeby okazicielowi udzielały pomocy zbrojnej do spełnienia jego poleceń na jego odpowiedzialność.

— Ja teraz wzywam pana porucznika — rzekł słodziutko Fajski, odbierając od żandarma przejrzany przez niego dowód nieograniczonego zaufania rządu, — ażeby pan porucznik przystąpił do jak najściślejszej rewizyi tego domu i należących do niego zabudowań.

Żandarm nachmurzył tylko czoło i nic nie odpowiadając wyszedł z pokoju. Nie spodziewał się on widocznie, że denuncyant, który go sprowadził do Gradowiec, jest w posiadaniu takiego rozkazu.

Nie pozostawało mu nic, tylko wykonywać biernie zlecenia człowieka, do którego prawa jego dusza nie mogła zataić pogardy.

Fajski wyszedł za nim, pewny, że tym razem życzeniu jego stanie się zadość.

Rozpoczęła się zatem jedna z tych najdotkliwszych i najprzykrzejszych operacyi policyjnych, które się nazywają rewizyą domową.

Rafał Fajski wodził w niej rej. Szukając papierów przetrząsano wszystkie skrytki domowe, pruto pościel, zdzierano z mebli pokrowce, wyjmowano obrazy z ram, szukając broni kopano ziemię w ogrodzie, odrywano podłogi, dziurawiono ściany.

Trwała ta praca kilka godzin i była bezskuteczną, nareszcie w jednem miejscu ogrodu natrafiono na dół otwarty. Widziano ten dół i przedtem, ale ponieważ nie spodziewano się w nim znaleźć niczego, więc go nie przeglądano, dopiero gdy pierwsze brzaski dnia zbliżać się już zaczęły, Rafał Fajski zrozpaczony bezskutecznością poszukiwań, zagłębił tam swój wzrok pobożny.

Mignęło mu się w oczach, jakby coś świeciło się na dnie. W jednej chwili był już w dole, a wkrótce potem wydrapywał się na wierzch, trzymając w ręku tryumfalnie kosę zupełnie przygotowaną do powstańczego użytku.

Pospieszył z nią do porucznika, który powrócił już do domu, i zastawszy go rozmawiającego ze Stanisławem, rzekł:

— Widzi pan porucznik... szukajcie a znajdziecie, powiada Pismo święte... znalazłem...

— Kawałek żelaza... — z uśmiechem dokończyła Konstancya.

— I dół...

— Próżny zapewne..

— Puściuteńki, ale to żelazo dowodzi, że tam była broń, którą teraz, zwęszywszy pismo nosem, wykradziono. Zresztą to się w komisyi śledczej pokaże, czego to żelazo dowodzi, a tymczasem...

To mówiąc, zwrócił się do oficera i rzekł, wskazując Stanisława, tonem rozkazującym, chociaż zawsze słodkim i niby uprzejmym:

— Panie poruczniku, wzywam pana, ażebyś kazał okuć aresztanta.

Konstancya krzyknęła i przytuliła się do męża.

Oficer żandarmeryi zwrócił się do szpiega.

— Słuchaj Fajski, — rzekł, — ja cię proszę, daj pokój. Ręczę ci słowem oficerskiem, że ten pan nie ucieknie.

— Przepraszam, panie poruczniku — rzekł Fajski z ukłonami, zacierając ręce — to ja właśnie chciałem prosić pana porucznika, żeby się pan nie mięszał w to, co do pana nie należy. Wzywam pana, abyś na moją odpowiedzialność kazał okuć tego człowieka, a wtedy ja mojem słowem ręczę, że nam nie ucieknie.

— *Padlec!* — mruknął oficer przez zęby.

I spojrzawszy na Konstancyę wzrokiem malującym bezsilne współczucie zawołał:

— Iwanow!

Było to nazwisko żołnierza, postawionego na straży w pokoju przyległym do tego, w którym odbywała się ta scena.

Nikt jednak nie odpowiadał na wołanie.

— Iwanow! — powtórzył głośniej oficer.

Głuche milczenie było odpowiedzią i tym razem.

— Ja go poszukam — rzekł Fajski i otworzył drzwi.

Ale jak prędko je otworzył, tak prędzej jeszcze zamknął. Cofnął się przerażony na środek pokoju, na środku zawahał się chwilę i rozglądał dokoła, jakby szukał jakiego wyjścia. Pokój ten był kancelaryą Stanisława, innych drzwi z niego nie było. W mgnieniu oka Fajski był już na stole stojącym przy oknie i zaczął okno odryglowywać.

W tej chwili rozległ się wystrzał, denuncyant błyskawicznie zeskoczył ze stołu i znikł pod nim.

Równocześnie otworzyły się drzwi i kilkunastu uzbrojonych wpadło do pokoju.

Oficer od żandarmów cofnął się się w kąt z dobytym pałaszem.

— Poddaj się, poruczniku! — zawołał jeden z uzbrojonych — jesteś sam jeden, wszyscy twoi żołnierze już wzięci, albo polegli, poddaj się!

Oficer milczał i nie wypuszczając z rąk pałasza pozostał w obronnej pozycyi.

— Rozbroić! — zakomenderował przywódzca.

W kilka chwil potem, mimo rozpacznej obrony, rozbrojono oficera, nie zadawszy mu żadnej rany.

— Skończone, — rzekł przywódzca — panie poruczniku, jesteś jeńcem rządu narodowego polskiego. Muszę panu przyznać, że broniłeś się dzielnie, i że gdyby nie niespodziewany atak i nie przewaga siły, bylibyśmy cię nie mieli. Chciałbym panu dowieść, że choć młodzi żołnierze, honor żołnierski

uszanować umiemy. Weź pan ten pałasz, jeśli nam dasz słowo, że go w tej wojnie przeciwko nam nie użyjesz.

— Przepisy nasze nie pozwalają nam dawać tego słowa powstańcom...

— A honor nie pozwala panu dać takie słowo i później je złamać. Dobrze bezpieczni bylibyśmy o naszą przyszłość narodową, gdyby tylko ludzie honoru stali w szeregach armii waszej. Jesteś pan wolny.

VIII.

Ocalenie, które przyszło jak *deux ex machina* w najkrytyczniejszej chwili, tem było zdumiewającem dla Stanisława i Konstancyi, że człowiek, który przewodził powstańcom i który w ten sposób przemawiał do wziętego w niewolę oficera, był im obojgu zupełnie nieznany, tak dalece, że Stanisław zmuszony był go zapytać:

— Kto pan jesteś i jak do tego przyszło?

— Jestem dowódzcą wojskowym, przysłanym przez Rząd narodowy w te okolice. Widzę, żem przybył w najstosowniejszej chwili, a żem był tutaj i przyczynił się do ocalenia waszego, to nie moja zasługa. Byłoby do tego przyszło i bezemnie, i kto wie, czyby się nie tak samo udało. Sprawcą dzisiejszego wybuchu jest ten szeregowiec, którego za odznaczenie się mianuję podoficerem.

To mówiąc dowódzca wskazał jednego ze znajdujących się w pokoju i ukrytych po za innymi powstańców.

Robotnicy garbarscy, stojący w pierwszym szeregu, po za którymi wskazany przez dowódzcę ukrywał się umyślnie, rozstąpił się, i oczom Stanisława i Konstancyi ukazał się — wnuk Mortka.

Zaraz w pierwszej chwili wybuchu młody izraelita dowiódł czynem prawdziwości słów Franka Harasia, że na wojnie do odznaczenia się każdemu otwarta droga, kto potrafi sobie powiedzieć: „zginę, to zginę, ale kpem nie będę!"

Słabe pacholę, wychowaniem, ani tradycyami rodowemi nie przeznaczone do dźwigania szabli lub kosy, umiało się wyróżnić zaszczytnie z pomiędzy wszystkich.

Józef był duszą wybuchu. On pierwszy rzucił myśl, że niepodobna dać uwięzić Stanisława, i że gdyby do tego przyjść miało trzeba raczej wszystko rzucić na kartę, skorzystać ze słabości sił nieprzyjaciela i przemoc odeprzeć przemocą. On pierwszy zwrócił uwagę, że rewizya w domu Stanisława przedsięwzięta mogła być zdrady, a jeżeli była skutkiem zdrady, to mogła także doprowadzić do wykrycia i zabrania zakopanej broni czyli do rozbrojenia całej organizacyi powstańczej w Gradowcach i w okolicy. On się podjął i z kilkoma innymi robotnikami dokonał wykradzenia tej broni, prawie pod okiem, bo ledwie o kilkadziesiąt kroków od patrolujących i strzegących wyjść z domu Stanisława Moskali. Za jego inicyatywą broni tej nie ukryto gdzieindziej, lecz rozdano ją między członków organizacyi, którą umówionem hasłem również na jego odpowiedzialność zaalarmowano i zgromadzono się cichaczem. On wreszcie polecił, aby gdy już nie będzie wątpliwości, że Stanisław ma być aresztowanym, uderzyć znienacka ze wszystkich stron na Moskali, załatwić się z nimi po cichu i na samem miejscu odbywanej rewizyi wziąć do niewoli aresztujących.

Wszystkie te plany i czynności Józefa zbyt dobrze trafiły do przekonań robotników z garbarni i mieszczan gradowieckich, należących do organizacyi wojskowej, którym poczucie, że po swojej stronie mają liczebną przewagę dodawało i zagrzewało fantazyę, — żeby przeciwko nim objawić się miała jakakolwiek opozycya, albo szemranie. Jeden był tylko im niechętny, a tym był Franek Haraś.

Nie miał on w duchu nic przeciwko samym zamiarom Józefa, prócz może tego, że taka myśl wnukowi Mortka, a nie jemu pierwszemu się nasunęła — ale miał im wiele do zarzucenia co do formy. W służbie wojskowej moskiewskiej nauczył się przedewszystkiem karności, do wszelkiego działania potrzeba mu było najprzód rozkazu. A tutaj działanie miało być właśnie wprost rozkazowi przeciwne. Rozkaz wydany przez Stanisława brzmiał wyraźnie i kategorycznie: „Cobądźby się stało, zachować slę spokojnie" — Józef przełamywał ten rozkaz.

Ale opozycya i perswazye Franka na niewiele się przydały — ogół poszedł tam, gdzie mu przywiązanie do Stanisława iść kazało, to jest za zdaniem wnuka poczciwego arendarza. Wysłużony żołnierz, może nie tak niechętnie, jak to okazywał po sobie, zamilkł i poszedł za zdaniem większości, ale nie rwał się do pierwszego szeregu, i robił to, co nań robić wypadło. tak jakby ciągle myślał o tem, żeby się miał czem usprawiedliwić z przełamania rozkazu, a od czasu do czasu mruczał pod nosem:

— Rekruty!...

Różnicy zdań między dwoma najwybitniejszymi na razie członkami gradowieckiej organizacyi położył koniec wypadek niespodziewany.

W czasie odbywającej się u Stanisława rewizyi, już dobrze po północy, kiedy organizacya była już zaalarmowana i zdecydowana siłą przeszkodzić uwięzieniu kochanego przez wszystkich naczelnika, do oberży gradowieckiej zajechał jakiś nieznajomy pan, po którego ubraniu, mimo łagodnej ówczesnej pory roku i rozpoczynającej się już prawie wiosny, dobrze zabezpieczonem od zimna, poznać było można od razu, że dłuższą, a może bardzo długą drogę przed przybyciem do miasteczka przebyć musiał.

W chwili, gdy ten nieznajomy pan przybył, chociaż jeszcze Moskale odbywający rewizyę u Stanisława przez nikogo zaatakowani, ani zaczepieni nie zostali, broń ukryta była już wykradzioną i rozdaną i na wszystkich posterunkach miasteczka z wyjątkiem garbarni, rządził i gospodarował *de facto* Rząd narodowy.

Oberża, jeden z punktów w małej mieścinie najważniejszych, była także zajętą i strzeżoną, a na przyjezdnych naturalna ostrożność kazała zwracać szczególniejszą uwagę.

Zażądano zatem od przybyłego legitymacyi. Zapytał go o nią Franek Haraś, któremu zapewne wskutek jego oporu przeciw swoim zamiarom, Józef powierzył oddalone od ogniska zamierzonego wybuchu stanowisko — pilnowania oberży.

Przybyły zdziwił się niezmiernie żądaniem Franka. Widocznie nie spodziewał się wcale, żeby go coś podobnego w tej okolicy spotkać mogło. Okazało się przecież, że legitymacye miał w porządku, był bowiem w posiadaniu niewielkiej kartki poświadczającej, że podróż swoją za wiedzą władz narodowych odbywa.

Z kolei jednak zachciało się podróżnemu pytać o różne rzeczy improwizowanych partyzantów. Ciekawiło go widocznie, jakie ma znaczenie ta czynność organizacyi narodowej w Gradowcach, co znaczy uzbrojenie jej członków i zadał Frankowi kilka pytań.

Pytania te byłyby go nabawiły niemałego kłopotu, gdyby był do nich nie miał prawa. Franek mruczał półgębkiem, na nic nie odpowiadając stanowczo i wyraźnie, a mierząc wzrokiem przybyłego z ukosa, ale gdy to nie wystarczało i gdy podróżny dopytywał się ciągle wysłużonemu Sewastopolczykowi zabrakło cierpliwości i zawołał na swoich:

— Hej! wiara, zrewidować mi tego panicza, chociaż ma paszport narodowy... Na przeszpiegi tu przybył chyba, bo coś mi zanadto ciekawy!

Kilku ludzi, fizyognomie świadczyły, że nie myślą żartować, przystąpiło do nieznajomego

Ale podróżny uśmiechnął się tylko i pochwalił gorliwość Franka.

— Bardzo debrze, że się macie na baczności — rzekł ale tym razem obawa niepotrzebna. Mam tutaj dowód, że jestem przysłany przez Rząd narodowy dla objęcia dowództwa w okolicy, dajcie więc znać o mojem przybyciu tutejszemu naczelnikowi, Stanisławowi Wydrze, i proście go, żeby się natuchmiast zemną zobaczył.

Widzieć się ze Stanisławem było niepodobieństwem. Sprowadzono na chwilę Józefa i on przybyłemu dowódzcy wyjaśnił w kilku słowach stan rzeczy.

A wyjaśnił go tak, jak mu przekonanie wewnętrzne dyktowało. Mówił z zapałem, mówił z serca, nie można było wątpić, że przekona i przekonał.

Zapał, jakim jego słowa były natchnione, udzielił się dowódzcy. Uznał on, że w danej chwili niepodobna było postąpić inaczej, jak postąpiono, i sam objął kierunek przygotowującego się wybuchu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY.

Pewnego dnia zaprowadziła gospodyni Helenkę do biblioteki. Był to ogromny pokój, którego ściany całe były zastawione półkami i szafami, pełnemi drogocennych książek. Na środku stały kanapki, stoliki i fotele, a sufit podpierały marmurowe filary, co było powodem, że na jednym końcu pokoju nie można było widzieć tego, co się na drugim działo.

Stella bawiła się tu wczoraj z Anną i wyrwała kawał frendzli z aksamitnej firanki, Helenka miała to sporządzić, a praca owa okazała się mozolniejszą, niż pani Bird sądziła, albowiem razem z frendzlą był wydartym cały kawał aksamitu. Helenka usiadła więc w głębokiej framudze okna i zabrała się zaraz do roboty.

Drugiemi tymczasem drzwiami weszła Janina, usiadła przy jednym ze stolików i zaczęła rysować.

– Ach gdyby ona wiedziała, kto ja jestem pomyślała Helenka.

Nagle ujrzała idącego przez trawnik Artura, a serce jej zabiło niespokojnie. O, jak chętnie byłaby wybiegła naprzeciw niemu i zawołała:

— Patrz, to ja twoja żona! Nie umarłam! Żyję i błagam cię o trochę miłości!

Ale on nie zważał na nią. Ujrzał przez okno Janinę i po chwili już był w pokoju.

— Więc tu jesteś! Janino! — zawołał. Szukałem cię w całym ogrodzie.

Młoda dziewczyna zarumieniła się i spuściła oczy.

— Nie wiedziałam, że chcesz ze mną mówić — odrzekła. Jestem tu już od pół godziny.

— Ach Janiu! Wiesz przecie, że twoje towarzystwo jest mi zawsze najmilszem.

Janina uśmiechnęła się.

— A gdzie jest lady Forbes? spytała.

— Wyjechała w sąsiedztwo z piękną Anną. Chciała koniecznie, abym jechał z niemi, ale ja mam tu lepsze zajęcie. Tęskniłem za chwilą rozmowy z tobą, najdroższa.

— Prosiłam cię już raz, abyś mi nie mówił o twej miłości dopóty, dopóki jestem twoim gościem.

— W takim razie wyjeżdżaj jak najprędzej, — zawołał wesoło, — abym mógł natychmiast starać się jawnie o ciebie.

A ujmując obie jej ręce w gorącym uścisku, dodał poważnie:

— Jak okrutnym był nas los! Czy zdarzyło się już kiedy, aby dwoje kochających się było rozłączonymi w ten sposób!

— Ach, nie wspominaj o tem, Arturze — odrzekła smutnie. Chciałabym zapomnieć to, co już minęło.

Oboje milczeli przez chwilę. Helenka widziała, jak Artur całował ręce Janiny i serce jej strasznym ścisnęło się bólem. Pragnęła wyjść z biblioteki, aby skończyć swoje męczarnie, lękała się jednak zwrócić na siebie uwagi obojga. Z zaciśniętemi ustami siedziała nieruchoma, jak posąg i prosiła Boga o potrzebne siły do zniesienia tego okropnego dla niej widoku.

— Już znowu zapominasz o mojej prośbie, szepnęła Janina, wysuwając ręce z jego dłoni.

— Tak, bo ja pamiętam tylko o tem, że jesteś moją jedyną miłością — zawołał namiętnie, a słowa te padały jak roztopiony ołów na serce jego nieszczęśliwej żony.

— Patrz Arturze — odezwała się znowu Janina, nie przypomina ci ten blask słońca naszego pobytu we Włoszech? Nie wiem. czy będzie jeszcze jaka godzina w mojem życiu, w której nie myślałabym o Helence!

— Artur zerwał się z krzesła i stanął przy oknie.

— Helenka! — zawołał, biedna Helenka! Nie Janiu, nie zapomnimy o niej nigdy! I ja myślę codziennie o niej z głębokim żalem i miłością!

Helenka drżała, jak we febrze. Boże wielki, gdyby oni wiedzieli, że żyje, i że jest tuż przy nich!

— Widzę ją zawsze — rzekła Janina, stojąca na pokładzie, a tak smutną i…

— Nie mówmy już o tem — przerwał żywo. Bóg mi świadkiem, że umyślnie nie wyrządziłem żadnej krzywdy temu biednemu dziecku. Znosiłem cierpliwie mój los, ale miłość jej była nieszczęściem mego życia! Gdyby nie ona, ach, jak inaczej byłoby się wszystko stało!

— Nieszczęście jego życia! Miłość, którą mu chciała opromienić świat cały, ta miłość jej wielka i gorąca, zatruła mu życie. Helenka wiedziała przecież, że mąż jej kocha Janinę, ale nigdy jeszcze nie cierpiała tak okropnie, jak w tej chwili.

— Suchemi, palącemi oczami patrzała na tych dwoje ludzi, zatopionych w marzeniach przyszłości, a gdyby byli ją widzieli teraz, byliby z pewnością odgadli jej tajemnicę. Oni jednak, zajęci tylko sobą, nie przeczuwali nawet obecności jakiegoś świadka.

— Teraz wszystko minęło, zaczął Artur z westchnieniem. Wypełniliśmy oboje nasz obowiązek względem Helenki, i pragnęliśmy ją uszczęśliwić. To jest dla nas wielką pociechą.

Helenka nie mogła słuchać dłużej. Rzuciła robotę na ziemię i wybiegła z pokoju, a gdy Janina, zdumiona szelestem, obejrzała się, już jej w bibliotece nie było.

Nie wiedząc, co czyni, poszła wprost do pokoju Stelli, szukając pocieszenia u dziecka.

— Pójdź ze mną, kochanie, rzekła do dziewczynki, która też posłuszna, ujęła jej rękę i pozwoliła zaprowadzić się do szwalni.

— Pieszczotko moja! Dziecino najdroższa! jękła Helenka, przyciskając maleńką namiętnie do serca. Kochaj mnie trochę, bo jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

I gorące łzy spływały z jej oczu. Dziecko przytuliło się do niej i dotknęło ustami bladej twarzy płaczącej. Miłość Stelli była teraz jedynem, co mogło jej dodać odwagi do życia, a maleńkie rączki obejmowały ją tak czule, i czerwone usteczka całowały ją tak serdecznie, że zwolna uspokoiła się znowu i nowej nabrała otuchy.

- Kochanie moje! powtarzała, patrząc z uczuciem najwyższej rozkoszy w błękitne oczki dzieciny. Mój skarbie najmilszy. Jak ja cię kocham, gwiazdeczko śliczna!

Ale szczęście to nie trwało długo. Niańka przyszła po Stellę i zabrała ją z sobą, a zaraz potem wbiegła do pokoju Helenki Anna Forbes.

— Nie ma tu dziecka? zawołała żywo.

— Nie!

— Ach, to znowu miss Burton ma je u siebie, odrzekła gniewnie. Rozpieszcza zanadto Stellę i… cóż to, dodała szorstko — czy nie słyszysz, co mówię, pani Moore?

— Owszem słyszę — odrzekła Helenka spokojnie.

— Więc czemu nie odpowiadasz?

— Bo nie mam nic do odpowiadania! Gdzie miss Burton obecnie jest, tego nie wiem, a Stella wyszła z niańką do ogrodu.

— Mogłaś mi to zaraz powiedzieć. Uważam wogóle pani Moore, że przeceniasz twoje stanowisko w tym domu. Przemawiasz do mnie tak dziwnym tonem, jak gdybyś nie wiedziała, kim jestem!

Helenka żywo zerwała się z krzesła. Nie chciała obrażać Anny, obawiając się jej nieprzyjaźni, mogącej mieć niekorzystny wpływ na jej pobyt w zamku. Przez wzgląd na dziecko musiała być uprzejmą i uniżoną, więc przeprosiła natychmiast zagniewaną, a miss Anna rozjaśniła zaraz twarz i stała się bardzo łagodną i grzeczną.

— Mnie przecież chodzi tylko o dobro dziecka, rzekła, a podług mego zdania nie umie miss Burton obchodzić się z dziećmi. Stella potrzebuje silnej ręki, któraby nią kierowała, tem więcej, że matka jej była też podobno bardzo kapryśną i samowolną kobietą.

Nożyczki wypadły z rąk Helenki.

— Co to? zawołała Anna.

— Nic, nożyczki upadły, szepnęła Helenka, schylając się.

— Ona ma słuszność, pomyślała. Byłam istotnie swawolną i kapryśną.

— Gdzie jest miss Burton? odezwała się znowu Anna.

— Nie wiem. Mam jej powiedzieć, gdyby tu przyszła, że pani jej szukasz.

— Broń Boże! Nie widziałaś lorda Chesleya, pani Moore?

— Zapominasz, milady, że ja tu rzadko kogo widuję!

Helenka domyślała się celu pytań Anny. Chciała ona się tylko dowiedzieć, czy Artur widział się z Janiną w czasie jej nieobecności.

Po odejściu Anny nie została Helenka długo samą. Wszyscy domownicy polubili ją niezmiernie i przychodzili do niej, aby jej opowiadać o swych smutkach i radości. Służba uznała w niej kobietę wykształconą i dobrą, a pani Bird

nie umiała już dać sobie rady bez niej. Lord Chesley uśmiechał się, gdy mu raz po raz powiedziano, co pani Moore mówiła, i twierdził, że to musi być istotnie bardzo rozsądna osoba. Gdyby był przeczuwał, kto się ukrywał pod maską płatnej szwaczki!

Kilka dni później pojechała niańka do miasta, a że służba cała była bardzo zajętą, przeto prosiła gospodyni Helenkę, aby wyszła z Stellą do ogrodu.

Helenka uszczęśliwiona, zgodziła się chętnie na to, i zeszła z dziewczynką na dziedziniec.

— Idźmy do papy, prosiło dziecko.

— Nie, kochanie, w parku jest o wiele ładniej!

Ale Stella uparła się, aby iść do ojca, i wszelkie perswazye Helenki nic tym razem nie pomogły.

I tak musiała Helenka zaprowadzić ją do ogrodu, do altany, w której siedział Artur. obok Janiny!

— Papo! papo! wołało dziecko, biegnąc z wyciągniętemi rączkami.

— Pójdź, kochanie, odrzekł lord Chesley, chwytając ją w objęcia.

Nikt nie zważał na Helenkę, stojącą przed altaną, dopiero, gdy Janina spojrzała na nią i zauważyła, jaki głęboki smutek wyraża blada jej twarz, zwrócił też i Artur uwagę na nią. Sądził on, że Helenka nie wie, czy ma odejść, czy zostać, chcąc więc ją wybawić z kłopotu, rzekł uprzejmie:

— Lubisz zapewne kwiaty, pani Moore, zerwij sobie więc kilka róż, a Stella zostanie tymczasem u nas.

Oczy Helenki napełniły się łzami: cofnęła się na bok, aby już nie patrzeć na męża i Janinę, ale każde słowo, jakie wymawiali, dochodziło wyraźnie jej uszu.

— Stello, rzekł lord Chesley, podaruję ci coś bardzo pięknego, z czego się ucieszysz!

— A co? zawołało dziecko ciekawie.

— Nową mamę, która cię kocha, i którą ty też kochasz!

Nową mamę? powtórzyła dziewczynka, podnosząc oczki ku niebu.

Janina zauważyła to spojrzenie i przyciągła dziecko do siebie.

— Ona myśli o swej matce, rzekła. Twoja mama jest w niebie, kochanie, i musisz ją zawsze kochać więcej, niż innych ludzi na świecie!

— Tak, ja ją też kocham, odpowiedziała Stella poważnie, jak gdyby wszystko rozumiała.

— A twoja nowa mama będzie zawsze tu, przy tobie, szepnął Artur, obejmując Janinę i dziecko w gorącym uścisku.

— Pocałuj teraz mamę, dodał wzruszony, i przyrzeknij, że będziesz zawsze dobrą i posłuszną jej córeczką.

— O tak, rzekła mała, a Janina zalała się łzami.

— Nie płacz ukochana — prosił Artur — przeszłość minęła, a szczęśliwa przyszłość uśmiecha się do nas. Powiedz mi tylko, kiedy ma się odbyć nasz ślub. Ach jak pragnę tej chwili, w której na zawsze zostaniesz moją!

Helenka stała jak skamieniała. Słyszała każde słowo tej rozmowy i jak błędna spojrzała teraz na męża, który zbliżył się do niej z Stellą.

— Idź z dzieckiem do parku, pani Moore — rzekł uprzejmie.

Helenka milcząc, ujęła rękę dziewczynki i poszła wolno ku domowi. Więc Artur ożeni się wkrótce z Janiną!

I czegoż miała się dziwić! Wszakże kochali się oboje od dawna i byli zaręczeni. Tylko jej kaprys rozłączył ich, to też czemu nie mieliby się teraz połączyć. — Stelli nowa mama. — O, jak okrutną boleść sprawiały jej te słowa! Ale Artur i Janina byli pewni, że ona spoczywa na dnie morza, i siedzieli tu w kwiecistej altanie, w blasku słońca i rozmawiali o szczęściu, jakie ich czeka, a jakie im dała mniemana jej śmierć.

Stella zaczęła się niecierpliwić milczeniem swej towarzyszki.

— Jesteś smutna? zapytała nareszcie, podnosząc ku niej swe śliczne modre oczęta.

— Jestem nieszczęśliwa, odrzekła Helenka, i chciałabym umrzeć.

— Tak jak moja mama?

Helenka przytłumiła bolesny jęk i odwróciła głowę.

Gdy się zbliżała do zamku, spotkała lady Forbes i Annę, a obie panie miały wyraz twarzy bardzo niezadowolony.

— Widziałaś miss Burton, pani Moore? zapytała matka a nie czekając na odpowiedź, dodała prędko: Byłaś pewnie z dzieckiem na przechadzce, bardzo to ładnie, ale nie należy do pani. Gospodyni nie umie zarządzać służbą, wszędzie daje się uczuć brak pani domu. Widziałaś miss Burton?

— Tak, w ogrodzie, odrzekła Helenka.

— Samą?

Helenka zawahała się.

— Czy była samą? powtórzyła lady Forbes szorstko. Jest ona pod moją opieką, a ja ledwie ją raz na dzień widzę. Szczególniejsze postępowanie!

— Czemu nie odpowiadasz mojej matce — zawołała Anna rozgniewana. — Czy nie słyszysz jej pytania, pani Moore?

— Naturalnie i zaraz też odpowiem — rzekła Helenka drżącym głosem. Miss Burton rozmawiała z lordem Chesleyem.

— Domyślałam się tego, szepnęła lady Forbes z szyderczym uśmiechem. Biedne dziecko, dodała, zwracając się do Stelli, wkrótce zapomną o tobie, jak zapomnieli o matce.

— Nie, pomyślała Helenka — Janina nigdy nie wyrządzi krzywdy memu dziecku! I moją pamięć szanować będzie.

— Sądzę, rzekła głośno, że się mylisz, milady. Miss Burton bardzo kocha Stellę.

Lady Forbes zaczęła się śmiać złośliwie.

— Cieszy mnie, że jesteś tego zdania, pani Moore, zawołała. Pójdź Anno, musimy iść same na przechadzkę ponieważ miss Burton jest zajętą.

Zaledwie oddaliły się o kilka kroków, rzekła Anna do matki:

— Nienawidzę tej osoby. Jest to z pewnością płatne narzędzie Janiny, zawsze bowiem trzyma jej stronę i nie chce powiedzieć, gdzie ją widziała.

— Gdybym była pewną, że lord Chesley chce się z Janiną żenić, to dziś jeszcze wyjechałybyśmy ztąd, odparła matka.

— Ale ja tego nie wierzę! Czemu on miałby ją właśnie pokochać? Przecież ja też nie jestem potworem. Nie mamo, to być nie może upierała się Anna.

— O, i ja wolałabym, abyś ty została lady Chesley. Takiej drugiej partyi nie znajdziesz chyba! Jeżeli ci się jednak nie oświadczy, to nie możesz być jego żoną. Więc poczekajmy jeszcze kilka dni.

Helenka tymczasem poszła z dzieckiem do zamku. Niańka wróciła z miasta i podziękowała jej za wyręczenie.

Ale przechadzka nie posłużyła pani, dodała, patrząc uważnie na bladą twarz Helenki. Zmęczyłaś się pewnie, bo też dziecko lubi biegać i nie odpoczywa ani na chwilę.

— O nie, ale gorąco dziś bardzo, a ja nie znoszę upału

— Muszę też jeszcze powiedzieć, że dłużej nie wytrzymam tutaj. Lady Forbes dokucza mi zanadto i dziś jeszcze uskarżę się milordowi. Chce mi ciągle robić jakieś przepisy, a nie zna się na niczem. Święty mógłby stracić cierpliwość.

— Uspokój się, prosiła Helenka, może wkrótce wszystko się zmieni na lepsze.

— Pani zawsze mi to powtarzasz, ale zmiany jakoś nie ma. Zresztą wiemy wszyscy bardzo dobrze, w jakim celu lady Forbes tu bawi z córką.

Helenka westchnęła smutnie. Więc cała służba mówiła o małżeństwie Artura, a ona żyła!

— Widać przecież, zaczęła znowu niańka, że milord kocha miss Burton, i że ożeni się z nią pewnie.

— Myślisz rzeczywiście, że on się po raz drugi ożeni? szepnęła Helenka bez tchu prawie.

— Spodziewam się, i byłoby to dla niego prawdziwem szczęściem. Sam przecież nie może żyć, a jeżeli się wnet nie zdecyduje, to lady Forbes zmusi go do tego.

Helenka uspokoiła rozgniewaną dziewczynę i wymogła na niej przyrzeczenie milczenia. Obawiała się, że Artur mógłby się dowiedzieć o niezadowoleniu służby z rządów lady Forbes, i że to wielką by mu sprawiło przykrość. Długi dzień letni zdawał się dziś nie mieć końca. Gdy Helenka zobaczyła później Janinę, schodzącą na obiad, zauważyła, że twarz młodej dziewczyny najwyższem promieniała szczęściem.

— Ach, czemuż nie umarłam! jękła z rozpaczą, biegnąc do swego pokoju. Niewypowiedziana gorycz przepełniała jej serce. Kto teraz myślał o niej? Tam w salonie bawiono się wesoło i układano plany na przyszłość, i nikt nie wspomniał biednej zmarłej. A jednak myliła się. Janina patrzała ze łzami w oczach na portret kuzynki i mówiła sobie w duszy, że wyrzekła by się chętnie po raz drugi swego szczęścia, gdyby ją tem wskrzesić zdołała. I Artur myślał z serdecznym żalem o jej miłości, której nie umiał ocenić. C. d. n.

Z obozu.

(Rok 1863.)

PANASÓWKA.

(Śpiewka.)

Stoją nasi na wyżynie,
Od południa Moskwa płynie,
Nasi Moskwy oczekują,
Atakują!

Wszczęta walka grzmi i dudni,
Hejże chłopcy na południe!
Kawalerya i piechota...
Ognia! rota!

Naprzód, bracia, przyjaciele!
Dzielne Ćwieki, Lelewele!
Jedni w lesie. Naprzód z lasu,
Nie ma czasu.

A dowódzcy gdzie? Na czole!
Hejże za nim w czyste pole!
Od północy zastęp wali
Na Moskali.

Wrzała walka z służbą cara,
Na bagnety poszła wiara
Nie ćwiczona, mężna była,
Zwyciężyła! *F. Ch.*

POWSTAŃCY.

(Śpiewka.)

Chciał nas Moskal brać w sałdaty,
Chciał wygubić nas,
My przed wrogiem dalej z chaty
I uciekli w las.
Lasy, bory, lasy, pole,
Tu powstańcy w swym żywiole.

Jak to ptactwo my żyjemy,
Kto tu o nas wie,
Tu nas spłoszą, tam siądziemy,
Pozbieramy się.
Wszystkie leśne ścieżki wiemy,
W polskim lesie nie zbłądzimy.

Ileż razy nie rozgłaszał
Bajki podły wróg,
Że nas pobił, porozpraszał!
Kłamie, widzi Bóg.
On nas tutaj nie wykole,
Tu powstańcy w swym żywiole.

H. S.

Zawiedziony.

(Obrazek z życia.)

Letni wieczór, cichy, jak sen niemowlęcia, nad którem troskliwa matka, czuwając u kołyski, opiekuńcze rozpostarła skrzydła.

Balsamiczny powiew przenikał powietrze, chłodząc je mile, od pól i łąk płynącą wilgocią.

Ciche przez dzień cały uliczki małej mieściny, teraz gwarno rozbrzmiewały echem rozmów, pieśni, śmiechu i różnorodnej wrzawy.

Tu i owdzie na ławkach przed domami siedziała jeszcze jedna i druga rodzina mieszczańska, dojadając resztek wieczerzy.

Woń barszczu ze szperką i młodych, suto kraszonych kartofli, rozchodziła się po ulicy, mile drażniąc powonienie.

Gromadka dzieci uganiała się za latającym nietoperzem. Rzucają w górę czapkami, kamieniami, czem które może, byle przyczynić się do powodzenia obławy na niewinne stworzenie, które jednak długo myli ciosy napastników, uchodząc to w prawo — to w lewo, podlatując tuż ponad ziemią, lub wysoko opisując koła nad dachami domów. Wreszcie zmęczony gacek szuka gdzieś w dymniku zacisznej schrony i wytchnienia.

Dzieci. niezadowolone z takiego obrotu sprawy, zwolna posmutniałe rozchodzą się po domach, wreszcie i sen je morzy, większość z nich jutro do dnia wstać musi pognać bydło na paszę.

Rolnicza mieścina niewiele — niczem prawie nie różni się od wioski; chyba tem tylko, że domki ma gontem, nie słomą kryte; że posiada obszerny rynek, gdzie się kilka razy do roku odbywają jarmarki, murowany kościół, magistrat, szumnie nazwany ratuszem, i kilka nędznych żydowskich handelków.

Kącik to cichy, spokojny, życie w nim takie powszednie, takie zwyczajne.

W lecie przez cały dzień ludność rolnicza pracuje na zagonie, na noc tylko ściągając się do domów. Rzemieślnicy jedynie pilnują warsztatu.

W dzień jednak praca idzie tu jakoś ospale, jaki taki z nudów wlecze się do handelków.

Zato gdy słońce już się skryje za topole proboszczowego sadu, chłodek orzeźwiający powieje, toż to robota wrzeć zaczyna dopiero. Stolarz z przeciwka przy otwartem oknie, zaśrubowawszy deskę w warsztacie, piłuje a piłuje ją zajadle. Obstalowano przed chwilą trumnę dla starego Wojciecha gonciarza. Umarł — ot ze starości, tylko co Łukasz dzwonił mu na wieży. Świeć mu, Panie, poczciwy był człeczyna, wody nikomu nie zamącił.

Trzeba się spieszyć jednak z trumną, bo to lato — ciało czekać nie może.

I stolarz zwija się, hebluje deskę co siły! Sylwetka jego w ciągłym ruchu miga się na różowem tle płonącego po za nim na kominie ogniska, przy którem kipi wieczerza.

Robota — jak to mówią — w ręku się pali. Pan Kacper, pracując nad wiekiem trumny, gwiżdże galopadę z „Orfeusza.“

O! wesoły ofiarniku podkasanej muzy! I tu cię znają w tym zapadłym małopolskim kącie; i tu wędrowni minstrele nie z gęślą, ale z katarynką na plecach, roznieśli brzmienie stworzonych przez ciebie pieśni!...

Pan Kacper nie zastanawiał się nad tem bynajmniej, co gwiżdże, w takt pobijając młotkiem ćwieki, któremi spajał ściany śmiertelnego domostwa...

Skończył robotę... Już za późno...

Miasteczko głuchnie coraz to bardziej.

Znużonych pracowników dnia sen wabił ku sobie nieprzeparcie, wabił czarami złudnych marzeń do namiętnego uścisku w swych objęciach.

Krótka, cicha i uroczysta noc letnia postępowała szybkim krokiem. Ta noc czarowna z całym orszakiem harmonijnym poplątanych dźwięków natury, ze śpiewem słowika, wśród tajemniczych szeptów liści na drzewach, z muzyką żab i smętnem zawodzeniem derkaczy na łące, z mruganiem gwiazd i turkotom kół młyńskich przy upuście...

Ah! wszystko to takie znane, takie powszednie, stare... a jednak — takie nowe zawsze, a ileż w tem wszystkiem poezyi!...

Późno już...

Co chwila słychać stuk zamykanych na noc drzwi domów. W okienkach zgasły światełka, gdzie niegdzie tylko błyszczy migotliwie dogorywające ognisko.

Pierwszy kogut, trzepiąc skrzydłami, zapiał donośnym głosem.

Widać ród kurzy oczekiwał tylko na danie znaku — dokoła bowiem w ślad za głosem swego prowodyra — pieją pobudzone ze snu kury.

Tętent koński słychać na drodze. — Smętny odgłos rogu rozległ się w dali trzykrotnem hasłem. To chłopcy wyjeżdżają z końmi na pastwisko i tak nawołują się wzajemnie. Skrzyp kół zapóźnionego wozu dolatuje od gościńca po rosie.

Wszyscy śpią...

Ale nie. Przy domu Błażejowym pod rozłożystą gruszą ktoś szepce — nie wszyscy więc posnęli.

Na grubym klocu drzewa, służącym za ławę, siedziało ich dwoje — młody chłopak i dziewczyna.

Patrzeli wzajem na siebie, milcząc.

Uśmiechnięty, pyzaty księżyc przez szpary liści hojnie sypał im na głowy srebrne blaski migotliwych promieni, które pospolitym, niewyszukanym konturom ich twarzy nadawały wiele poetycznych rysów.

— Panno Nastazyo — szeptał Piotr. — Już nic nam wtedy nie stanie na przeszkodzie — ah, byle tylko mnie nie wzięli!

— No, no, niech pan Piotr tak nie mówi, bo mnie aż mrowie po skórze chodzi, gdy pomyślę sobie...

— Oh, moja złota panno Nastazyo, już ja bym chyba tam umarł bez ciebie, nie bez to, żebym się miał bać wojska, bo tak nie jest, ale bez to tylko, żebym już panny Nastazyi nie widział więcej.

— Nie mów tak, bo mi się nie wiedzieć co dzieje...

Tu westchnęli oboje z głębi piersi.

— Piotr wyciągnął rękę, a ująwszy dłoń dziewczyny, ścisnął ją w swojej silnie.

— Oj!... toby było, toby było dopiero — wyjąkał.

— A toć to teraz i wykupu niema — rzekła po chwili.

— A ino, niema.

Zaduma siadła im na czoła... Myśli pracowały usilnie nad wynalezieniem pożądanego środka — naprózno jednak...

— Późno już — ozwała się Nastusia — trza mi już do domu. Pewno ojciec i matka śpią dawno... A tu rano do roboty... pójdę już...

I zwolna powstała z klocka, a za nią Piotr.

— Dobranoc...

Uszli parę kroków i znów się zatrzymali przy płocie, okalającym domostwo. Żal im było widać tej pogody nocnej, tego piękna pogrążonej we śnie natury. Serca prostacze może nie rozumiały owego piękna, lecz potrafiły je odczuć, wsłuchując się bezwiednie w szepty drzew tajemnicze...

— Dobranoc!...

Mignęła sukienka Nastki... Dał się słyszeć stuk drewnianej zasuwki, którą drzwi za sobą ryglowała...

Cisza...

A Piotr stał jeszcze długo na jednem miejscu, wpatrując się w zamknięte drzwi domu, gdzie przed chwilą zniknęła mu Nastka.

* * *

Od tego czasu Piotr chodził jakoś nie swój — dziwnie zamyślony, przy Nastce tylko odzyskiwał humor i gdy mu ona rzuciła pytanie:

— No cóż?...

— Jakoś to będzie — odpowiadał.

Razu jednego widziano, jak długo rozmawiał z Ickiem, felczerem.

Wkrótce Piotr zaczął ukradkiem wieczorami zachodzić do owego Icka i siadywał tam po parę godzin a czasem i dłużej.

Pod jesień, kiedy wzywano popisowych do superewizyi, stanął też i Piotr z kilkoma zastarzałemi ranami w nodze.

Uwolniono go...

Ach, jakże był szczęśliwy!

Powracał z powiatowego miasta do domu, do Nastusi, ze skarbem nieocenionym — z białym biletem, który troskliwie zaszył w podszewce surduta, aby przypadkiem nie uronić go gdziekolwiek.

I przeszło parę miesięcy, nastały zapusty, długie a huczne w tym roku.

W miasteczku żenili się ludziska na wyścigi. Wesele za weselem omal, że nie co dzień.

Ksiądz proboszcz rady sobie dać nie mógł ze ślubami, bo parafia była wielka, więc gdy przyszła niedziela, a dobrodziej wszedł na ambonę i zaczął wygłaszać zapowiedzi, to zanim doszedł do końca — już wszyscy bracia w ławkach różańcowych posnęli, a organista na chórze w głos chrapać zaczął, był bowiem na sen niewytrzymały.

Ale wróćmy do Piotra.

I on cieszył się nadzieją, że za kilka tygodni najdalej Nastka zostanie jego żoną.

Rany mu się w nodze goić zaczynały, choć bardzo leniwie i powoli.

Nie zważał jednak na to.

Myśl jego była tylko zajęta — Nastką...

Zdarzyło się wesele ławnikowej córki.

Piotr i Nastka znaleźli się na niem. Ona była starszą drużką.

Jakiż Piotr był szczęśliwy, gdy mu przypięła do boku mirtowy bukiecik z białą wstążką... Wydało mu się wtedy, że Nastusia — nie drużką, lecz panną młodą.

Bawiono się na zabój. Pito niezgorzej.

Piotr był wesoły, jak nigdy!...

Koło Nastki, która królowała w gronie dziewcząt, młodzieży kręciło się co niemiara. Nawet bogaty młody propinator z okolicy przysiadał się do niej ustawicznie, dolewał piwa, a częstował plackiem i karmelkami, tak mu się podobała.

Piotr patrzył na to zazdrosnem okiem. Nie byłaż bo Nastka jego i tylko jego?...

Rozpoczęły się tany. Skrzypki ucięły ognistego obertasa od ucha, basetla huczała, że chyba w niebie było słychać.

Propinator posunął się do Nastki.

Piotr, nie zważając na ranę w nodze, podbiegł szybko, schwycił w objęcia swoją dziewczynę i puścił się na odsiebkę.

Po chwili jednak ból wykrzywił mu rysy, twarz pokryła się bladością.... sił mu zabrakło, omało, że nie upadł na ziemię.

Poczuł, że rana krwią mu sączyła. Puścił Nastkę na środku izby i sam, kulejąc mocno, podszedł ku ławie.

Propinator, któremu Piotr z przed nosa pochwycił tancerkę, zaśmiał się szyderczo i zawołał głośno:

— Ha, ha, ha, kiedyś taki kuternoga, to nie bierz się do tańca...

Kuternoga, kulas... szepnęli weselnicy i wyraz ten przebiegał po izbie z ust do ust.

Piotr zgrzytnął zębami z wściekłości, byłby się rzucił na propinatora, ale nie mógł się ruszyć z ławy, noga odmówiła mu posłuszeństwa, a przeciwnik już w najlepsze wywijał... z Nastusią.

Wsparty na ramieniu młodszego brata, Piotr powlókł się do domu, a gdy wychodził z izby, słyszał po za sobą muzykę — odgłos wybijanych hołubców i srebrzysty śmiech Nastki.

Ona tak wdzięczyła się do bogatego propinatora!...

Nie ujęła się nawet za Piotrem...

Serce mu zamierało z bólu w piersi, a w uszach boleśnie brzęczały szepty:

— Kulas, kuternoga!

Piotr całą noc przejęczał. Noga mu sczerniała i opuchła. Dręczyły go sny gorączkowe... Widział przed sobą jedną wciąż tylko parę tańczącą bez wytchnienia, do upadłego, do szaleństwa...

Nazajutrz Icek felczer przyszedł do chorego i obejrzawszy ranę, dziwnie spochmurniał, oczy w dół spuścił, opatrzył jako tako, wymknął się z wymówką, że musi burmistrzowi bańki stawiać i — nie przyszedł więcej, a tegoż dnia wyjechał nawet gdzieś za pilnym interesem.

* * *

W kilka dni potem znów pan Kacper, gwiżdżąc ulubioną galopadę, strugał deski na trumnę Piotrowi...

Pochowano go z tymże bukietem mirtowym z białą wstążką, który mu Nastka do boku przypięła.

Tak chciał... To było jego ostatnie życzenie....

* * *

I znów była takaż sama noc letnia, jak przed rokiem, tylko na klocu pod gruszą pusto, nikt się tu nie wsłuchuje w szepty drzew i śpiew słowika.

Nastusia już jest panią propinatorową i mieszka razem z mężem w okolicy. Dobrze im się pono powodzi. Smutno tu u stóp starej gruszy.

A Piotr?...

Śpi snem nieprzespanym z tymże bukietem mirtowym z białą wstążką — który mu Nastka do boku przypięła...

Sławomir.

„Polacy."

(Rok 1863.)

Tam na górze, przy figurze,
Co tam za wojacy?
Patrz Michale — czy Moskale?
Nie — to są Polacy.
To Polacy? Zkądże oni?
Zkąd? Z całego świata!
Przyszli, łącząc bratnie dłonie,
Bić się brat za brata. *F. Ch.*

Pogadanka.

Ubiegłej soboty spotkałem na ulicy Rycerskiej znajomego. Już miałem go powitać — wtem on dobywa chusteczkę i: „a psik! a psik! a psik."

— Cóż to katar? — pytam — Przy takiej pogodzie?

— Nie! — odpowiada znajomy, załatwiwszy się grzecznie z niegrzecznym organem powonienia. — Wracam z placu wystawy. Powiadam ci — kurz niemiłosierny! Jeżdżą, wałują drogi, ustawiają maszyny, prowadzą okazy wystawowe — a nikt nie myśli o skropieniu wodą na różny sposób poruszanego piasku poznańskiego. Stąd podrażnienie mego nosa!

Rozmowę tę prowadziłem dnia 2 czerwca a więc blisko na tydzień przed otwarciem wystawy niemieckiego Towarzystwa rolniczego. Mam nadzieję, że w czasie wystawy pomyśli szanowny Komitet wystawowy o skrapianiu wodą chodników głównych dróg komunikacyjnych.

Ponieważ potrąciłem o wystawę warto przypomnieć ważność wystaw.

Wystawy dają sposobność do nawiązywania stosunków handlowych i do zapoznania się z nowościami w zawodzie.

Dlatego tak obsyłanie wystaw, jak zwiedzanie ich jest pożytecznem.

Nie chodzi wcale o to, kto urządza wystawę.

U nas urządzają wystawy w większej części ci, którzy są u steru — a więc Niemcy.

Ci nasi najserdeczniejsi tak wzrośli w dumę od czasu pogromienia Francyi i od czasów Bismarcka, że na inne narody patrzą z góry, a już całkiem zapominają, że zabrali ziemię polską, gęsto przez ludność polską nasiadłą. Ta ich bezwzględność każe im zapominać o uwzględnianiu także języka polskiego przy rozmaitych okazyach. Lecz prąd wszechniemiecki tak ogarnia wszystko i do takich absurdów doprowadza, że dziwić się tej bezwzględności zbytnio nie potrzeba. Przecież niedawno temu, jeden z niemieckich posłów orzekł, że narodowości polskiej wogóle nie ma — a chwała Bogu jest nas milionów 20; a jeden z ministrów również zapomniał całkiem, że w Prusach żyją Polacy, którym królowie pruscy dali gwarancye Ojczyzny, i orzekł ów minister, że w Prusach jest tylko narodowość pruska.

Zapomniał przytem pan minister, że na stworzenie narodowości pruskiej, trzebaby wskrzesić ow szczep pokrewny Słowianom, wycięty prawie w pień przez Krzyżaków, bo tylko ten szczep miał

prawo nosić nazwę Prusów. Dzisiejsi Prusacy w żadnym razie nie są ich potomkami, posiadają wprawdzie ich ziemię, lecz nie są z ich krwi.

Wobec takiego szowinizmu nie dziwić się, że Prusacy zapominają o względach dla języka polskiego.

Jest atoli niemieckie przysłowie: „Hochmuth kommt vor dem Fall“ — znaczy to, że przed upadkiem idzie zarozumiałość — niech o tem „nowa pruska narodowość“ pamięta.

Wszystkie te bezwzględności nie powinny nas, szczególniej rolników, wstrzymywać od zwiedzenia wystawy, nie dla rozrywki, lecz, aby się czegoś nauczyć.

Zjechało do Poznania sporo osób z Królestwa Polskiego. Były zamiary urządzenia dla nich kilku rautów. Jeżeli te zamiary się spełnią, doniosę o tem.

Wystawę zwiedzi oprócz rozmaitych dygnitarzy pruskich także gubernator Kalisza, wielki koniuszy dworu petersburskiego, Daragan, urzędnik rozumny, cieszący się wielkiemi względami u dworu carskiego, a także bardzo poważany przez naszych rodaków gubernii Kaliskiej.

Zjedzie się więc do Poznania sporo wybitnych osób — a także dużo „Polaczków“ — o to chwytam się na gorącym uczynku.

Weszło u nas w zwyczaj, że, skoro mówimy w potocznej rozmowie o sobie, często mówimy „Polaczek“, a nie Polak. To zdrabnianie jest charakterystycznem, oznacza ono jakieś przygnębienie, jakieś poczucie niższości. Trzeba nam koniecznie mówić z całą dumą, z całą pewnością siebie, podniesionym głosem: Polak! — bo nie jesteśmy jeszcze Polaczkami — tylko Polakami całą gębą.

Otóż przy tym licznym zjeździe Polaków nasi przemysłowcy powinni niezłe zrobić interesa, mianowicie mamy nadzieję, że nasi Polacy względami swemi darzyć będą swoich kupców i swoich restauratorów.

Jedną mam obawę, że tutajsze tingel-tangle będą miały zaszczyt widzieć kwiat młodzieży w pierwszych rzędach krzeseł, a rycerze od zielonego stołu zapuszczą sieci nie bez skutku i ten, co przybył z pełną kieszenią jako Polak, co się zowie, wyjeżdżać będzie cichuteńko z chudą kieszenią jako „Polaczek“.

Lecz pamiętajcie rycerze od zielonego stołu, że Towarzystwo antyhazardowe coraz silniejszej nabiera podstawy i coraz baczniej kontrolować was będzie.

Verus.

Sałdat.

Wspomnienie z roku 1863-go.

We Włodzimierzu, w samym rynku,
U słupa lud się gromadzi,
A tłuszcza Moskali w ordynku,
Skutego jeńca prowadzi.

Przy słupie śmierci stanął śmiało,
Stanęli w szereg sałdaci,
—Strój się! —komendy słowo brzmiało,
Wystrzału czekają kaci.

Wtem z szeregu sałdat zbiegł jeden,
I błaga starszego kata:
— Pomiłuj batiuszka! ja bieden
Nie mogę strzelać do brata.

Oficer ogniem spłonął dzikim:
Pasłuszat' polska sobaka! —
Zrównał się sałdat z swoim szykiem,
Lecz w duszy uczuł Polaka.

— Pal! — z luf zabłysły ogniem słupy,
A gdy mgły dymu opadły,
Na ziemi leżały dwa trupy —
Zbiry ze zgrozy pobladły.

Przy Polski rycerza zwłokach,
Płyną sałdata krwi strugi —
A krew tę Pan widział w obłokach,
Złożył na szalę zasługi. —

Stanisław Ryś.

Jeszcze wciąż można zapisywać „PRACĘ“ na miesiąc czerwiec.

W obrębie państwa niemieckiego jest ***każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany*** do przyjęcia abonamentu, który wynosi na czerwiec

tylko 34 fenygi.

Kto więc dotąd „Pracy nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezzwłocznie

tylko 34 fenygi,

a dostawać będzie pismo nasze do końca kwartału w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest na poczcie pod rubryką II t. Nr. 86.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Pod maską“, i t. d. otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i znaczek dwudziestofenygowy na porto.

Premium!

Kto jeszcze zjedna teraz choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, a więc *bezpłatnie*

Kalendarz Maryański na r. 1900

albo też ładną książkę.

Kto zjedna kilku abonentów i nadeśle kwity, ten otrzyma kilka ładnych książek.

Komu zależy na tem,

by z czasem mieć pokaźną

Biblioteczkę domową

polskich dzieł wyborowych,

a za tani pieniądz,

ten niech zaabonuje na poczcie

„Czytelnię Polską“,

która kosztuje kwartalnie

tylko 50 fenyg.

W Austryi 30 centów,

(a pod opaską 1 mr. czyli 60 cent.)

„Czytelnia Polska“ zapisaną jest na poczcie pod rubryką „Nachtrag 5 t. 13 a.“

Kto raz „Czytelnię Polską zaabonuje, ten zostanie już stałym jej czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzi co tydzień

w formacie książki w objętości 20 stron i więcej, z pięknemi illustracyami i t. d.

Każdy tomik „Czytelni Polskiej“ stanowić będzie w sobie ile możności całość, tak, że każdy zeszyt będzie dla siebie osobną książką. Już w ciągu kwartału każdy abonent „Czytelni Polskiej“ posiadać będzie 13 tomików czyli w ciągu roku 52 zajmujących książek.

Za pomocą „Czytelni Polskiej“ każdy, choćby najbiedniejszy, przyjdzie bez kłopotu — tanim groszem — w posiadanie

pokaźnej biblioteki domowej.

Zatem — nieociągać się, tylko czemprędzej 50 fenygów w rękę i — dalej na pocztę!

Wszystkie zaległe zeszyty „Czytelni Polskiej“ otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeśli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i znaczek dwudziestofenygowy na porto.

Wiadomości.

Najprzew. X. Biskup dr. Likowski powrócił szczęśliwie w piątek przed Zielonemi Świątkami z Rzymu, gdzie był obecnym na uroczystościach kanonizacyjnych i gdzie podbił serca wszystkich pielgrzymów wielkopolskich Swoją nadzwyczajną życzliwością i dobrocią. Jak ojciec troszczył się X. Biskup o pątników naszych, którzy głęboką wdzięczność zachowają Mu w sercu swojem.

Redaktor „Dziennika Chicagoskiego,“ p. Stanisław Szwajkart, zatrzymał się w mieście naszem dnia 1-go bm. w przejeździe przez Poznań na uroczystości krakowskie. Pan Szwajkart złożył nam wizytę i oglądał z wielkiem zainteresowaniem nasze machiny drukarskie, zecernię, introligatornię i t. d.

Na fundusz jubileuszowy H. Sienkiewicza nadesłała w dalszym ciągu p. A. Łucka z Stanisławowa w Galicyi 3 korony czyli po zamianie, 2 mrk. 53 fen.

Dalsze datki na ten cel przyjmujemy chętnie.

Pan Piotr Laskowski z Poznania złożył egzamin na asystenta poczty.

Otwarcie poznańskiej wystawy robót terminatorów, nastąpi w przyszłą niedzielę, 10 b. m. o 12 w południe na sali pałacu Działyńskich, przy Starym Rynku.

Dla urozmaicenia i podniesienia aktu otwarcia wejdzie w program jego prócz stósownej przemowy także śpiew tutejszego Kółka Śpiewackiego Towarzystwa Rzemieślników Polskich.

Ponieważ wystawa obejmie okazy prac uczniów najrozmaitszych firm naszych i rozciągać się będzie na przedmioty wielu gałęzi przemysłowych, ztąd mamy nadzieję, że szanowna Publiczność licznie wystawę zwiedzać będzie. Czyniąc to, zaspokoi nietylko swą ciekawość, lecz pokaże nadto, iż rozumie ważność rozwoju naszego przemysłu. Zainteresowanie zaś to zagrzeje młodzież rzemieślniczą do tem większej pilności i do łożenia starania ku doskonaleniu się w obranym zawodzie.

Wystawa trwać będzie tylko przez tydzień i będzie otwarta codziennie od 9-tej z rana do 7-mej wieczorem.

Bilety po 25 fen. dla dorosłych, a po 10 fen. dla uczniów, nadto po 50 fen. na cały czas trwania wystawy sprzedawane będą przy kasie.

Komitet wystawy robót terminatorów
w Poznaniu.

Odezwa w sprawie dziatwy naszej szkolnej. Zbliża się czas wakacyi szkolnych, upragniona chwila spoczynku, do której wzdycha uboga dziatwa nasza na nasze kolonie wakacyjne z upragnieniem się oglądając.

Wydział Kolonii Wakacyjnych na własnym teraz gruncie stojąc, w odpowiednio wybudowanych budowlach i w nowo urządzonym ogrodzie, ma już dostatnią przygotowaną dla dzieci naszych gościnę, ale równie jak w roku zeszłym tak i teraz nie możemy jeszcze całkowitej liczby, jak zamierzono, pomieścić, i zmuszeni jesteśmy ograniczyć się na połowie, tj. 100 dzieci tylko w zakładzie naszym umieszczając.

Po za kolonią w Kobylnicy poparci jesteśmy wszelako sercem i dobrą wolą Dobrodziejek i Dobrodziejów, którzy myśl naszą rozumiejąc i popierając, znaczniejszą liczbę dzieci szkolnych rok rocznie przyjmują u siebie, wytwarzając tem samem mniejsze kolonie, które prawdziwem są dobrodziejstwem.

Po za temi odrębnemi koloniami wspomaga nas społeczeństwo całe, przyjmując pojedyńczo te ubogie dzieciny do domowych ognisk.

Ufając w doświadczoną corocznie dobroć i w ogólne poczucie spełniania obowiązku chrześciańskiego, odzywamy się i w tym roku do serca i wspaniałomyślności zamiejscowych rodaków, prosząc ich o uwzględnienie tej pierwszorzędnej potrzeby społecznej, o przytulenie serdeczne tych biednych dzieci naszych, które żyjąc przez rok cały w ubogich mieszkaniach pełnych zaduchu i wilgoci i w bardzo niekorzystnych warunkach bytu, potrzebują zaiste chwili wytchnienia na świeżem powietrzu przy skromnej, lecz posilnej strawie.

Liczba takich ubogich dzieci jest niestety bardzo wielką i trudno jest zaprawdę zaradzić tej biedzie ogólnej, ale częściowo jej ulżyć możemy.

Odzywamy się więc z gorącą prośbą do zamiejscowych współobywateli wiejskich, aby raczyli wedle możności otworzyć nam gościnne podwoje, przytulając do siebie spragnione świeżego powietrza i chleba dzieci.

Gorąco i serdecznie odzywamy się także do czcigodnego duchowieństwa naszego, do tych Chrystusowych Pasterzy i Przodowników, którzy na każdem polu uczciwej pracy i chrześciańskiego obowiązku nam przewodniczą i jasnym zazwyczaj świecą przykładem.

Odzywamy się więc z całem zaufaniem do czcigodnych proboszczy, prosząc ich, aby i oni przyjmować raczyli dzieci na czas wakacyjny. Prosimy o to z całego serca, aby łącząc się z nami i przodując w tem Chrystusowem zadaniu pobłogosławili je czynem i przykładem szlachetnym, który w takim razie podniesie wszystkich na duchu i do spełnienia tego obowiązku humanitarnego ogół społeczeństwa zagrzeje.

Przekonani jesteśmy, że prośba nasza trafi do serca rodaków i że każdy, kto tylko może, zgłosi się wcześnie do Komitetu naszego celem zamówienia liczby dzieci i omówienia odpowiednich ku temu warunków. Oczekujemy jak najwcześniejszego zgłoszenia się łaskawych dla sprawy i spieszących z pomocą Dobrodziejów, których sercu i dobrej woli sprawę naszą z pełnem zaufaniem przypominamy.

Wskutek odbieranych już w roku zeszłym zapytań, zaznaczamy, że od osób pragnących brać współudział w tej wspólnej a dobroczynnej opiece nad dziatwą naszą szkólną, a które dla rozmaitych przyczyn dzieci do domu swego przyjąć nie mogą, przyjmujemy każdego czasu z wdzięcznością zapomogę pieniężną, mogącą niejako taką wakacyjną gościnę zastąpić. Osoby pragnące przyjść w pomoc dzieciom szkolnym, mogą za opłatą 15 mk. za cały czas wakacyjny umieścić dziecko jako nadetatowe w koloniach naszych.

Przyjmujemy także dowolną ofiarę pieniężną na pożywienie świeżem mlekiem pozostałych w Poznaniu dzieci, dla których już na wsi miejsca nie stało.

Łaskawe zgłoszenia przyjmują redakcye pism poznańskich, oraz sekretarz Towarzystwa naszego, p. Stanisław Trzeciakowski w Poznaniu, ul. Piotra 7 (Ochronka św. Józefa).

Wydział Kolonii Wakacyjnych Towarzystwa „Stella" w Poznaniu.

Albin Andruszewski prezes,
Hr. Benzelstjerna Engeström, zast. prezesa.
Stanisław Trzeciakowski, sekretarz.
Bolesław Ziętkiewicz, skarbnik.
Książę Zdzisław Czartoryski. Jan Czorba.
Dr. Tomasz Drobnik. Jan Głębocki.
Aleks Januchowski. Walery Łebiński.
Dr. Wład. Łebiński. X. prałat Stychel.
Dr. Zygmunt Skórzewski. Hr. K. Żółtowski.

Kolonie wakacyjne. *Zgłoszenia rodziców lub opiekunów* słabowitych dzieci szkolnych, uczęszczających do skół miejskich i to do szkoły I do VI (w obrębie dawniejszego miasta bez przedmieść), które potrzebowałyby wypoczynku na świeżem powietrzu w czasie wielkich wakacyi, przyjmuje biuro nasze, znajdujące się w *Ochronce św. Józefa* ulica Piotra nr. 7. *od środy dnia 6, do wtorku dnia 12 czerwca pomiędzy godziną 6 a 7 po południu.* Późniejszych zgłoszeń nie uwzględni się. Z wszelkiemi sprawami, dzieci tyczącemi, należy zgłaszać się jedynie tylko do biura naszego, które po czasie do zgłoszeń przeznaczonym, otwartem będzie co wtorek i piątek od godziny 6 do 7 w Ochronce.

Wydział Kolonii Wakacyjnych Tow. „Stella"
w Poznaniu.

A. Andruszewski, prezes. St. Trzeciakowski, sekretarz.

Mieścisko. W miasteczku naszem wakuje posada lekarza, możeby który z rodaków naszych takową objął. Oprócz własnych praktyk daje lekarzowi miasto nasze subwencyi rocznej 300 marek. Okolica dosyć dobra i przeważnie polska, dlatego lekarz-rodak może tutaj liczyć na pewną egzystencyą.

Witkowo. W mieście naszem otworzył od 1 maja zakład blacharski p. Edmund Kobyliński. Młodemu rodakowi „Szczęść Boże!"

Berlin. Jak lata poprzednie i w tym roku zamierza utworzony w tym celu Komitet wysłać dzieci polskie z Berlina na czas wakacyj latowych w strony ojczyste, aby poznały nasze pola i lasy, nasze zwyczaje i obyczaje i pokrzepiły się na duchu i na ciele. Że położenie dzieci polskich pod względem narodowym jest opłakane, nikt chyba nie zaprzeczy, tembardziej, że ze wszech stron zakazują się uczyć swego języka macierzyńskiego. Kilkatygodniowy pobyt dzieci naszych, otoczonych ciągle niemczyzną w stronach czysto polskich byłby zbawiennym i ułatwiłby pracę około utrzymania narodowości polskiej u naszego potomstwa.

W roku ubiegłym wysłaliśmy 60 dzieci w strony rodzinne, lecz mamy nadzieję, że przy pomocy szanownych Rodaków w tym roku większą liczbę zdołamy wysłać.

Apelując niniejszem do szlachetnych serc Rodaczek i Rodaków, mamy nadzieję, że raczą poprzeć tak pożyteczny cel swemi datkami, za które w imieniu maluczkich składamy z góry najszczersze „Bóg zapłać".

Datki na kolonie wakacyjne przesłać można do prezesa Komitetu p. F. Załachowskiego, Berlin, Gartenstr. 150, lub składać na listy w tym celu wydane niżej podpisanym członkom Komitetu, oraz delegatom tutejszych towarzystw polskich.

Zgłoszenia o przyjęcie dzieci na czas letnich wakacyi prosimy przesłać do prezesa Komitetu.

Komitet Kolonii Wakacyjnych.
F. Załachowski. Prezes. *F. Masiota.* Sekretarz. *S. Pluskota.* Skarbnik.
N. Głowacki. *B. Liskowiak.* *J. Molski.*
A. Tischler. *M. Ziomek.*

Od Redakcyi.

„Braliński" Paderborn, ma na poczcie list posterestante pod powyższem nazwiskiem i raczy się po niego zgłosić.

„Westa" w Poznaniu. — Notatkę zamieścić możemy tylko jako płatny inserat.

Panu W. F. w Szubinie. — P. p. Ignatowicz i Marweg w Poznaniu, Filipiński w Śremie.

Panu M. K. w W. — Wyrażenie „Boże poszycie" oznaczało w dawnej polszczyznie „czuprynę."

Bławatce. — Ciekawość pierwszy stopień do piekła. Czyż dla panienki 16-letniej nie byłoby lepiej pomyśleć o gramatyce?

Pani M. Sroczyńskiej w Bolesławiu, Galicya. — W centralnej drogeryi Br. Śniegockiego w Poznaniu, plac Wilhelmowski nr. 10 z odwołaniem się na „Pracę."

Panu St. M. w Wolsztynie. — W tej sprawie poinformuje pana Księgarnia polska M. Tempłowicza w Poznaniu, hotel Francuzki.

Panu Michałowi G. w Starej Kiszewie. — W Banku Parcelacyjnym w Poznaniu, na Piekarach z odwołaniem się na „Pracę."

Panu Wiktorowi K. w Samborzu. — „Ut desint vires tamen est laudanda voluntas!" Chwalimy też dobre Pana chęci, ale utwór Pana poetycki p. t. „Brzoza" nie nadaje się do druku.

Katafiaszowi. — Ucz się Pan lepiej pil-

nie gramatyki i ortografii polskiej, a wybij sobie z głowy pisanie nowelek, na to, doprawdy „Szkoda czasu i atłasu.“ Pisze się nie „żekła“ tylko „rzekła“, nie „ujżycie“ tylko „ujrzycie“, nie „gożej“ tylko „gorzej“ i t. d. a takie błędy roją się formalnie w nadesłanej przez Pana nowelce p. t. „Wierna do zgonu.“

Towarzystwu akademików polskich „Ognisko“ w Czerniowcach. — Wysłaliśmy od początku kwartału „Pracę“ i „Czytelnię“ i nadal wysyłać będziemy. „Szczęść Boże!“

Panu I. I. W. w Kościanie. — Wiadomego wydawnictwa na razie zaniechaliśmy z przyczyn od nas niezależnych.

Pani Bronisławie Kil... w Nowosiółku, Galicya. Prosimy uprzejmie o łaskawe rozdanie między znajomych z zachętą do prenumeraty.

Humorystyka.

Miasteczko.

Hałas, tartas na Miasteczku
Miłem wszystkim — także dziecku;
Bracia strzelcy rej tam wodzą,
Uroczystość swą obchodzą.

Masadyński Brać mustruje,
A Specht dzielnie prezyduje;
W „tarcz królewską“ lecą strzały,
By przysporzyć strzelcom chwały.

Na ulicy tłum się bawi,
Ten i ów trojaczka wstawi,
By wykulać piernik, szklankę,
Lub też jakąbądź cacankę.

Tradycyjne masz tam „rury“,
Przytem niby cuda — bzdury
Ludziom w budach pokazują,
Łatwowierność wyzyskują.

Karuzele, figle różne
Przyciągają tłumy próżne;
Istny jarmark jest tam wszędzie —
Tak bywało i tak będzie!

Poznań, 4. 6. 1900. B. R.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Ogólne niemieckie Towarzystwo zabezpieczenia w Sztutgardzie. W miesiącu kwietniu 1900 uregulowano 1236 przypadków odszkodowania, z tego przypadło na zabezpieczenie z odpowiedzialnością 640 przypadków i to 384 z powodu uszkodzenia cielesnego i 256 z powodu uszkodzenia rzeczy; na zabezpieczenie w razie okaleczenia 524 przypadków, z tych 6 spowodowało śmierć natychmiastową, a 6 zupełne lub też częściowe inwalidztwo. Z członków zabezpieczonych na kapitał w razie śmierci umarło w tym miesiącu 72. W kwietniu zawarto nowych zabezpieczeń 6186. Ze zameldowanych poszkodowań przed 1-ym lutym 1900 r. (włącznie przypadków śmierci i inwalidztwa) tylko jeszcze jest 183 w pertraktacyach.

Pługi parowe firmy „John Fowler & Co.“ w Magdeburgu są wystawione w bardzo wielkim wyborze na wystawie niemieckiego Towarzystwa rolniczego w Poznaniu od 7 do 12 czerwca r. b. w rzędzie 11 miejscu 19. Zasługują mianowicie na uwagę następujące pługi parowe: machina o sile 20 koni, największy okaz tych potężnych pługów, grających tak wielką rolę w kulturze roli, dalej pług parowy o sile 16 koni. Obie te machiny pracują podług podwójnego systemu i są stosowne przedewszystkiem dla wielkich dóbr z obszernemi polami i dla najcięższej gleby. Te lokomotywy zbudowane są podług najnowszej techniki. Dla średnich dóbr jest wystawiony pług parowy o sile 10 koni i pług parowy z podwójnym bębnem. Wszystkie te machiny zaopatrzone są w najnowszą konstrukcyę. Wszystkie powagi agronomów zaopiniowały jednomyślnie, że pługi parowe Fowlera wykonują o wiele taniej, lepiej i spieszniej wszelką robotę, aniżeli pługi ciągnione przez woły, konie i t. p. i dla tego też tak szybko rozszerzyły się we wszystkich krajach. Prócz innych machin rolniczych wystawiła także na okaz wyżej wzmiankowana firma parowy walec szosowy, zbudowany jako specyalność w tym rodzaju podług najnowszej i najpraktyczniejszej konstrukcyi.

Zarys dziejów Polski porozbiorowej

z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej, wydanie drugie znacznie pomnożone, 52 obrazami sławnych Polaków, wodzów i bitew oraz 4 mapkami ozdobione, poleca 197

Księgarnia Polska (W. Tempłowicz)

Poznań, Hotel francuzki.

Cena mr. 1,80. Za nadesłaniem należytości posyika odwrotną pocztą.

Polecana w upar…h zatwardzeniach stolca, zaburzeniach w tra…niu braku apetytu, cierpieniach żołądka, w zdęciach, kwaśnych odbijaniach, zgadze. Wyborny środek przeciw złemu trawieniu, słabości żołądka. Najlepiej działający łagodny, krew czyszczący środek rozwalniający. Działa nawet przy kilkoletniem użyciu; zawsze dobrze działający.

Od 60 lat w użyciu! Dowód dobroci. Posiada niezwykłe własności. Używany w tysiącach rodzin. Nie powinien zbywać w żadnym domu. Najlepszy, najłagodniejszy, najnieszkodliwszy i najlepiej działający w swoim rodzaju. Dobrowolnie udzielone bez żądania świetne dowody uznania, tysiące listów dziękczynnych. Prawdziwe Lücka preparaty ziółkowe, starej, znanej i uznanej firmy C. Lücka w Kołobrzegu, są uznane jako dobre, bardzo ulubione środki domowe. Nazwisko, etykieta i opakowanie ochronione przez cesarski urząd patentowy. Podrabiania są karygodne. Opakowania, wyglądające inaczej jak poniżej stojący rysunek czerwonego opakowania, odrzucić należy, jako nieprawdziwe.



Rysunek zmniejszony czerwonego opakowania.

Żądać należy bezpłatnie sposobu użycia od C. Lück a w Kołobrzegu. Znakomite skutki!

Części składowe: 100 litrów 80 p oc. spirytusu z 3,6 kgr. rzewienia, 1,5 kgr. korzenia cytworowego, 2,8 korzenia goryczki, 250 gram. lipo-żywicy amoniakalnej, 250 gr. grzybu modrzewiowego, 1,250 ko. kory Sagrada, 2,6 ko. dryakwi bez opium, 30 gr. szafranu, 1 ko. aloesu przez 14 dni, poczem się wyciska i następnie przecedza. **Prawdziwe tylko w aptekach. Cena flakonu 50 fen., 1,50 m., i 3 m.**

Niniejszem donoszę uprzejmie, iż przejąłem firmę 326

„Express Wróblewski & Sp."

przedsiębiorstwo spedycyjno-komisowe

na własny rachunek i tokowem nadal pod firmą

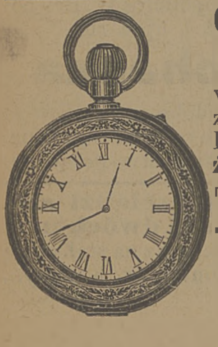
„Express"

kierować będę.

Prosząc o łaskawe poparcie, zapewniam Szanownym Klientom punktualną i rzetelną pod każdym względem usługę.

Hieronim Paul.





Gratis i franko wysełam illustr. cenniki

wszystkim tym, którzy mają zamiar za…patrzyć się w **zegary, regulatory zegarki** złote i srebrne, **bižuterye** złote w najnowszych fasonach, **alfenidę** i t. d. Ceny niskie lecz stałe. Usługa rzetelna i skora.

Dybizbański-Huebner,

Poznań, ulica Wiktoryi 10

(przystanek kolei elekrycznej). 285

---

65 mórg łąki

zmeliorowanej, na której trawę w parcelach dwumorgowych każdego czasu wydzierżawię. 346

Jan Włochal w Krzywiniu.

Stefan Chociszewski

skład cygar

Poznań, Wrocławska ul. 29

poleca dobrze odleżałe wyborne i lekko palące się **cygara.** Szczególnie polecam następujące dobre gatunki: 280

Liberty	100	sztuk	10 mr.
Caritas (miłosławskie)	100	sztuk	7 „
Chińskie warkocze	100	sztuk	6 „
Marta	100	sztuk	3 „

Płynny kwas węglany

Towarzystwa akcyjnego wyrobu kwasu węglanego w Berlinie

do wyszynku piwa w 8 i 10 kg. butlach stalowych

50 fen. za kilo

z odstawą do domu albo do dworca.

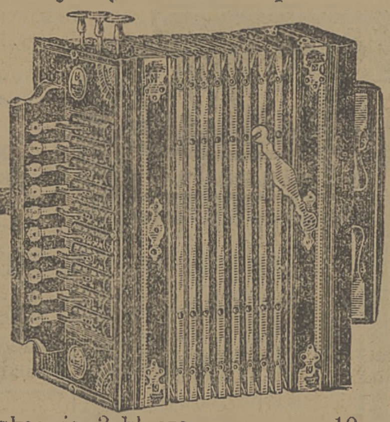
Skład u 328

Freudenreich & Cynka

Poznań, Rycerska ul. 17. Telefon Nr. 3.

N. Zientkiewicz,

Poznań, Stary Rynek 35 I. p.



10 klawiszy 40 głosów, 2 kl. 3,50 m.
10 klawiszy, 40 głosów, wszystkie narożniki okute, duża głośna 4 m.
10 klawiszy, 60 głosów, wszystkie narożniki okute, 3 klucze, głośna 5 m.
10 klawiszy, 80 głosów, wszystkie narożniki okute, 4 klucze, głośna 6 m.
10 klawiszy 60 głosów, każdy miech podw. i wokoło okuty, taka, jak model wskazuje, 3 klucze 10 m.
10 klawiszy, 80 głosów, każdy miech podwójny i wokoło okuty, taka, jak model wskazuje, 4 klucze 12 m.
10 klawiszy, 120 głosów, narożniki okute, 6 kluczy 11 m.
10 klawiszy, 120 głosów, najwspan., 6 kl., 2 dzwonki 17,50 m.
Skrzypce ze smyczkiem 5 m.
Skrzypce lepsze ze smyczkiem 6 m.
Skrzypce ze smyczkiem dobre 7 m.
Skrzypce ze smyczkiem dla dobrych graczy 12 m.
Gitara dobra 7 m.
Gitara z mechaniką 10 m.
Nowość! Lux do kręcenia z 6 sztukami 12 m.
Samogrające instrumenta począwszy od 30 m. do 100 m.

Folwark Huta, per Skorzencin

pow. Witkowski 9 klm. do stacyi kolej. Witkowa, 538 mórg dobrej żytniej ziemi (w 400 mórg ornej ziemi, 80 łąk. 24 morgi lasku, reszta dobre pastwiska z pięknem ogrodem, mocnemi murowanemi budynkami, kompletnym żywym i martwym inwentarzem, jest z powodu starości posiedziciela do sprzedania.

Bliższych wiadomości udzieli właściciel

J. Szymański. 347

Garantie: Zurücknahme u. Geld retour.



Meinel & Herold,

Harmonikafabrik, Klingenthal (Sachs.) Nr. 181.

versd. geg. Nachnahme ihre vorzügl. **Concert-Zug-Harmonikas** ca. 34—38 cm hoch, mit prächtigem Orgelton, offene Klaviatur, **verbess. Stahlfederung,** für deren Unverwüstlichkeit wir Garantie leist., 3thl. (11falt.) Doppelbalg Balgfalt. m. best. Metallschutzecken (Eckenschoner), Doppelbässen ꝛc., m.

10 Tast., 2 Reg., 50 Stim. pr. St. M. 5.—	21 Tast., 2 echt. Reg., 108 Stimm. M. 11.—
10 Tast., 3 echt. Reg., 70 Stimm M. 7.50	21 „ 4 „ „ 108 „ „ 21.—
10 „ 4 „ „ 90 „ „ 9.50	21 „ 6 „ „ 158 „ „ 27.—
10 „ 6 „ „ 130 „ „ 15.—	21 „ 8 „ „ 200 „ „ 39.—
10 „ 8 „ „ 172 „ „ 30.—	Andere Harm (85 versch. Nr.) v. 3½ M. an.

Schule und Kiste z. Harm. umsonst. Unsere Harm. sind nicht mit billiger offer. zu verwechseln. Anderweitig **billiger angebotene sind bedeutend minderwerthiger.**

Ueberzeugen Sie sich,

daß unsere Harmonikas die denkbar besten und dabei die anerkannt billigsten sind. **Bandonions, Mundharm., Ocarinas, Violinen, Zithern, Accordzith., Musikwerke** ꝛc. Vor anderweit. Einkauf bitten uns. illustr. Catalog umsonst zu verlangen.

Ueber 8000 Dankschreiben.